ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh -

ROK IX. Nr. 22 (414)

NIEDZIELA, 29 MAJA 1955 R.

*

* *

W DNIU ZIELONYCH ŚWIĄTEK czcimy pamiątkę zstąpienia Ducha Św. na Apostołów, a więc zarazem właściwych narodzin Kościoła. W czasach, kiedy to prawda i nauka o Corpus Mysticum Christi ma szczególne znaczenie i coraz pełniej narasta w naszej świadomości, warto przypomnieć z jaką precyzją tę myśl o narodzinach Kościoła ujmuje Pius XII w swej encyklice „Mystici Corporis" (1943).

Oto wielki Papież naszych czasów w swym jasnym wykładzie podkreśla, że Kościół jest Ciałem Chrystusa przede wszystkim dlatego bo Zbawiciel go założył i zarazem wyjaśnia w j a k i s p o s ó b się to stało.

FUNDAMENTY KOŚCIOŁA położył Chrystus Pan, gdy nauczając nadał mu swe prawa, gdy wybierał i posyłał swych Apostołów jako nauczycieli, rządców i szafarzy łask wśród społeczności wierzących, gdy ustanowił Sakramenty z Chrztem św. i Eucharystią na czele i gdy mianował swego Zastępcę na ziemi.

WŁAŚCIWEJ BUDOWY KOŚCIOŁA dokonał Zbawiciel na Krzyżu. Jak długo bowiem Chrystus Pan żył i nauczał na małym skrawku izraelskiej ziemi. obowiązywały równocześnie i Stary Zakon i Ewangelia. Dopiero w chwili śmierci Zbawiciela znosi on Stary Zakon i wprowadza w moc Nowy, na którego sługi obrał sobie Apostołów. Dopełniwszy dzieła Odkupienia, z wysokości Krzyża w pełni wykonuje urząd Głowy swego Kościoła. Krwią na Krzyżu przelaną usunął przeszkodę gniewu Bożego i sprawił, że wszystkie dary Starego i Nowego Testamentu mogą spływać na wiernych. Zwycięstwem Krzyża ubogacił niewyczerpalny już odtąd skarbiec łask, z którego, królując obecnie w niebie, obdarza członków swego Kościoła. — Przez swą Mękę i Śmierć nabył na własność Kościół — to jest ludzi, którzy przez Chrzest wrastają w ustanowione przez Niego Ciało społeczne Kościoła.

Ofiarą Krzyża Pan Nasz wysłużył dla Kościoła tchnienie Ducha Św. Mocą tej Krwi otrzymał Kościół Powszechny bogactwo energii Ducha Św., aby mógł być skutecznym i trwałym narzędziem w rozdawnictwie owoców Odkupienia. Boski Założyciel zaopatrzył bowiem Kościół we wszystko co jest mu do powodzenia dzieła Chrystusowego na ziemi potrzebne, a tym jest całe posłannictwo Kościoła, jego władza, nauka i Sakramenty.

OGŁOSIŁ I UMOCNIŁ swój Kościół Chrystus Pan w dniu Zesłania Ducha św. Gdy bowiem wprowadził już w urząd swego Zastępcę na ziemi i wstąpił do nieba, wtedy w sposób widzialny okazał swój Kościół i zarazem umocnił go, zsyłając mu siłę specjalną z nieba. Okazał zaś swą Oblubienicę za pośrednictwem Ducha Św., jak Sam kiedyś, kiedy zaczynał swą misję nauczycielską został w ten sam sposób, podczas Chrztu w Jordanie, przez Ojca okazany.

Duch Św. zstępujący wśród gwałtownego szumu wichru na Apostołów i dotykający ich znakami płomieni jest jakby palcem Bożym, który wskazuje na nadprzyrodzone posłannictwo i nadprzyrodzony urząd Kościoła.

Tenże Duch Św. jest duszą Mistycznego Ciała Kościoła, tą życiodajną siłą, która działając we wszystkich żywych członkach Kościoła utrzymuje całość i jedność naszej katolickiej społeczności.

PUNKTY WIDZENIA

KSIĄŻKA SPOZA KRATY

W połowie czerwca wychodzi z druku książka o szczególnej wadze, jeśli chodzi o polski ruch wydawniczy. Tą książką jest niewielka, dwieście stron licząca praca obecnego Prymasa Polski, Kardynała Stefana Wyszyńskiego p.t. „Duch pracy ludzkiej". Napisał ją dzisiejszy więzień „liberalnego" i „tolerancyjnego" komunizmu, gdy był jeszcze profesorem socjologii w Seminarium Duchownym w Lublinie. Wyszła ona w Polsce zaraz po wojnie w małym nakładzie i natychmiast została rozkupiona. Pierwsze jej wydanie jest dziś w Kraju niemal białym krukiem. Uchowało się jeszcze kilka egzemplarzy dzieła na emigracji.

Teraz wychodzi jej drugie wydanie, wydanie emigracyjne. Wartość i ważność tej książki ma kilka przyczyn. Przede wszystkim sam tekst. Książka mówi o pracy człowieka w różnych jej aspektach. Streszcza i oświetla naukę katolicką o jednym z głównych problemów ludzkiego życia indywidualnego i zespołowego. W czasach, gdy problemy społeczne poruszają zazwyczaj tylko systemy materialistyczne, ukazuje się oto dzieło, świadczące raz jeszcze o tym, że Kościół katolicki ma na te sprawy bardzo określone poglądy, i nawołujące ludzi do ich obserwowania.

Po drugie, napisał książkę prawdziwy specjalista w poruszonym przedmiocie. Dzisiejszy Prymas szedł przez całe życie drogą naukową i pedagogiczną. Wezwanie przez Stolicę Piotrową do objęcia Arcybiskupstwa warszawskiego oraz gnieźnieńskiego i związanego z nim Prymasostwa było oderwaniem ks. Wyszyńskiego od warsztatu uczonego, któremu to wezwaniu poddał się z całą pokorą i uległością. Jest jednak Prymas Polski jednym z najczujniejszych znawców zagadnień społecznych, a teksty, które oddaje w ręce czytelnika są pełne prawdziwej i wielostronnej mądrości.

Po trzecie, jest ta książka symbolem spraw, które się dzieją w Kraju. Panuje w tej chwili w Polsce rzekoma wolność religijna, ale główny tej religii Przedstawiciel w Kraju znajduje się w więzieniu, bez sądu, bez opieki, nawet bez wieści, gdzie się ta kaźń znajduje. W pewnym sensie stanowi więc to dzieło Więźnia probierz istotnego stosunku komunizmu do religii. Liczą się fakty, nie propagandowe frazesy.

I wreszcie po czwarte, jest ta probiercza książka miernikiem również samej emigracji, która — wolna — walczyć ma o te ideały, które są w osobie uwięzionego Prymasa poniewierane w podbitym siłą Kraju. Protestowaliśmy i nie przestajemy protestować przeciwko uwięzieniu Kardynała Wyszyńskiego. Ale chyba najgłębszą formą protestu jest, gdy się to, czego nauczał, przyswoi najpowszechniej i jeszcze głębiej zacznie się tak żyć. Jest więc to jeszcze jedna forma protestu — czynna i aktywna, przypominająca ale i zarazem wybiegająca w przyszłość.

„Duch pracy ludzkiej" wychodzi w skromnym, ale starannym opracowaniu graficznym. Książka wydrukowana jest tak i tłoczona, aby mogła trafić swą dostępnością do najszerszych kół polskich, do rozproszonych po świecie emigrantów, gdziekolwiek się oni znajdują.

J. K.

JAN BIELATOWICZ

DOBRACZYŃSKI

W niedawno wydanej książce pt. „Zagadnienia istotne" głowa katolików reżymowych Bolesław Piasecki wytknął dla swojej grupy zadania ideowe i taktyczne na najbliższą przyszłość. „Nikt z postępowych społecznie katolików — głosi Piasecki — nie może żądać, aby filozofia materialistyczna zrezygnowała z przewidywania zaniku religii i filozofii katolickiej w okresie pełnego funkcjonowania socjalistycznej bazy gospodarczej." Natomiast marksizm ma prawo żądać od katolików uznania bez zastrzeżeń wszystkich bez wyjątku swych założeń, nawet owego o religii jako „nadbudowie idealistycznej" klasy kapitalistyczno-burżuazyjnej. Katolikom nie wolno pod grozą nie tylko represji, ale także i grzechu śmiertelnego, wiązać się z kapitalizmem, więcej, nie wolno nawet mieć pokusy koncepcji „trzeciej siły", którą się piętnuje jako oczywisty „błąd".

Krótko rzecz ujmując, katolik „społecznie postępowy" powinien wierzyć w Boga i być komunistą. Jeszcze wyraźniej: „Musi być walka ideowo-polityczna między konsekwentnymi marksistami a zacofanymi społecznie katolikami. Jest rzeczą oczywistą, że w interesie katolicyzmu i narodu leży, żeby walka o pełną i powszechną postępową postawę katolików była prowadzona przez nich samych z wewnątrz społeczności katolickiej. Ci wszyscy, którym autorytet społeczny katolicyzmu widziany w perspektywie historycznej jest drogi, powinni mieć naturalną ambicję wyręczania marksistów w tej dziedzinie."

Jasno i bez niedomówień. Grupa „katolików postępowych" ma wyręczać komunistów w walce z katolicyzmem.

Ta rola katolików reżymowych jest na ogół dobrze rozumiana przez Polaków w Kraju i na emigracji. Polityczna rola grupy „Dziś i Jutro" nie budzi żadnych wątpliwości, zresztą budzić nie może w świetle tak przejrzystych i bezwzględnych wynurzeń ich przywódców.

Ale często słyszy się zdanie: „mimo wszystko jednak, są to osobiście uczciwi katolicy". Czy rzeczywiście? Czy doprawdy można bez szkody dla sumienia palić Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek?

Niewiele tu na emigracji, czemu zresztą trudno się dziwić, czytamy prasy krajowej. Kto by jednak przejrzał kilka pod rząd numerów takiego „Dziś i Jutro", nie miałby żadnych wątpliwości, że jest to równocześnie organ katolicki i komunistyczny, chrześcijański i materialistyczny, dewocyjny i bezbożniczy, patriotyczny i przeciwpolski. Niezmiernie ciekawym przykładem tego dualizmu jest artykuł Jana Dobraczyńskiego pt. „Emigranci" w 17 numerze „Tygodnika Powszechnego" z dnia 24 kwietnia br. Ciekawy dlatego, że łatwiej ocenić wartość moralną i intencje pisarza, jeśli przedmiot jego opisów i rozważań jest znany i sprawdzalny. To, co katolicy reżymowi wypisują o Kraju, trudno nam tu nieraz sprawdzić, ale kiedy ich pierwsze pióro zajęło się nami, emigracją, łatwo sprawdzić, jakiego rodzaju są to oceny i jakim celom służą.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Dobraczyński w wymienionym artykule wykonuje świadomie i pod dyktando cytowane zlecenie swego przełożonego Piaseckiego: „wyręcza marksistów" na niebezpiecznym dla nich i mało dostępnym terenie. Zohydzając emigrację usiłuje w Kraju podkopać wiarę w nią, a równocześnie w słabych i mętnych głowach, jakich nie brak na emigracji, spotęgować chaos.

Artykuł odsłania jednak nie tylko cele polityczne katolików reżymowych, które całkiem oczywiście służą przyśpieszaniu komunizowania Polski i świata, ale przede wszystkim ukazuje bez osłonek moralność i profil ideowy autora. Pisarz mieniący się katolikiem w taki sposób pisać nie może. Nie tylko poglądy polityczne, ale sposób myślenia, rozumowania i postępowania Jana Dobraczyńskiego mają z nauką katolicką i Ewangelią niewiele wspólnego.

Przybrał on pozę moralisty i minę wielce wtajemniczonego w istotę katolicyzmu powiadając, że wszystko na tym świecie nieważne: ustroje polityczne, krzywdy społeczeństw, rządy. Ważna jest tylko Łaska. Tej Łaski przez duże Ł ma pan Dobraczyński pełną gębę. Łaska ta pozwala mu doskonale na wytaczanie oskarżeń wobec wszystkich i wszystkiego, co jest poza obrębem wychwalanego ustroju komunistycznego. Ta sama Łaska knebluje mu usta wobec codziennego gwałcenia praw Boskich i ludzkich przez reżym narzucony Polsce. Polemizując ze zdaniem jednego z publicystów emigracyjnych, że komuniści w Polsce „pozwalają temu lub tamtemu być dobrym katolikiem na użytek osobisty", pisze dosłownie: „Lecz, mój Boże, czy chrześcijaństwo żąda czegoś więcej? Tak szanowany przeze mnie i niech mi wybaczy, że tak go nazwę — kochany ksiądz profesor Leclercq pisze: „Jedyną rzeczą absolutnie potrzebną jest, aby życie Łaski rozwijało się każdym sposobem, przy użyciu każdego środka..." Katolicyzmu — jestem o tym najświęciej przekonany — nie broni się, z katolicyzmem nie robi się frontów czy partii, nie zamyka się go w twierdzach, ale katolicyzmem tylko, i jedynie tylko, trzeba żyć. Jeżeli katolicyzm w sobie samym nie posiada dość sił — nie jest tym, czym sądzimy, że jest, i my mu nic swoją działalnością nie pomożemy. Każdy z nas może mu swoim postępowaniem tylko zaszkodzić. Lecz póki możemy żyć życiem Łaski — nic nie jest stracone."

Po pierwsze. Skoro z katolicyzmu nie robi się frontów ni partii, więc po co w komunistycznym sejmie Polski Ludowej istnieje „Klub Chrześcijańsko-Społeczny" i po co jego posłem i działaczem jest Jan Dobraczyński?

Po wtóre. Bolesław Piasecki powinien dobrze zmyć głowę towarzyszowi partyjnemu Dobraczyńskiemu, że w tak istotnej sprawie wypisuje on rzeczy najzupełniej sprzeczne z tezą szefa, rozwiniętą w „Zagadnieniach istotnych", mianowicie: „Zniekształceniem jednak chrześcijańskiego stosunku Boga i człowieka jest sprowadzać go tylko do problemu łaski i grzechu. Jest jeszcze problem dzieła... Od momentu powstania dzieło Stworzenia jest w ustawicznym ruchu... Świat jest w ruchu, gdyż przekształcanie świata jest potrzebą i zamiarem Stwórcy. Dlatego świat jest stworzony dla człowieka jako koniecznie przekształcalny. Rzeczą chrześcijaństwa jest nadawać każdej możliwości ludzkiej i każdej możliwości tkwiącej w przyrodzie pełny stan aktualizacji i sens doskonałości. Przekształcać świat znaczy dla człowieka nie tylko chcieć zmian, ale i umieć tworzyć dzieła skuteczne."

Piasecki ma w tym punkcie oczywistą rację, gdyż katolicyzm to nie sprawa prywatna, ale apostolstwo i miłość społeczna. Chrystus Pan przyszedł na świat, aby dać świadectwo prawdzie i po to nas też powołał do Swojego Kościoła, upominając: „Nie chowajcie światła pod korcem!", a także: „Nie można równocześnie Bogu służyć i Mamonie".

Po trzecie. Skoro panu Dobraczyńskiemu wystarcza Łaska na prywatny użytek, więc w jakim charakterze poucza katolików na emigracji o istocie katolicyzmu i o konieczności pomagania w budowie Polski komunistycznej? Dlaczego odcinając katolicyzm od wszystkich „frontów i partii" każe mu się łączyć tylko z jedną: z komunistyczną?

„Nasi emigranci — pisze — nie rozumieją, że Polska stała się krajem przeogromnych przemian społecznych i demograficznych. Oni najczęściej, przedstawiciele inteligencji, buntują się na widok faktu, że w Polsce powstała nowa inteligencja, niewątpliwie posiadająca w tej chwili niższy poziom wyrobienia kulturalnego, ale za to pragnąca i chłonna wiedzy. Ta młoda inteligencja wnosi w życie dynamikę, o jakiej w kołach emigranckich nikt nie może mieć nawet wyobrażenia i czy się to komu podoba czy nie, ta młoda inteligencja będzie już niedługo kierowała życiem umysłowym Polski."

Nam się to, oczywiście, nie podoba, ale skąd u pana Dobraczyńskiego tyle apostolskiego żaru dla „przegromnych przemian społecznych" i dla „nowej inteligencji", która podobno będzie rządzić nie mając skrupułów, czy to się komu będzie podobało czy nie? I czy to istotnie katolicki stosunek do przemian społecznych: „czy to się komu podoba czy nie"? Po co wreszcie wzruszającą przypowieścią o chlebie razowym z Polski (który n.b. można masami kupić w Londynie) zachęca p. Dobraczyński do powrotu, skoro wie, że stokroć potężniej unosi się nad dzisiejszą Polską woń lochów Bezpieki ponad zapach chleba naszego polskiego.

Niechże tedy pan Dobraczyński pozwoli się swobodnie rozwijać Łasce w tych potwornych i czarnych warunkach na emigracji i w rubieżach kapitalistycznej Sodomy i Gomory, skoro życie Łaski nie jest przywiązane do żadnego ustroju. Chyba nie trudno pojąć, jaki jest cel pozostawania na emigracji, zwłaszcza w świetle zapewnień przywódców „katolików społecznych", że nie ma już żadnej nadziei na odwrócenie od świata owych „przeogromnych przemian społecznych". Nam przynajmniej wolno mieć wiarę, chrześcijańską wiarę, że nic co ludzkie nie jest nieodwracalne i że nadejdzie godzina, kiedy pan Dobraczyński i jego towarzysze będą dziękować Bogu, że odwrócił od świata straszliwe nieszczęście.

Ale Jan Dobraczyński nie po to przecież został wysłany na Zachód, aby pozostawić emigrację jej losowi. W ogóle nie przybył tu, aby świadczyć prawdzie. Przyjechał natomiast po to, aby kłamać, oszukiwać i głosić nienawiść, jako apostoł potępionego przez Stolicę Apostolską bezbożnego ustroju. Dlatego Dobraczyński nie myli się, lecz z całą świadomością zmyśla i przeinacza fakty.

To, co wyżej napisano nie jest wcale publicystyczną demagogią, przeciwnie podkreślam wyrazy: **kłamstwo, oszustwo, nienawiść i apostołowanie zła,** dlatego, że nie tylko teorie polityczne Dobraczyńskiego i jego grupy są szkodliwe, ale całe ich postępowanie i działalność pisarska przeczą elementarnym zasadom katolickim. Katolikowi, jak każdemu człowiekowi, wolno się mylić, wolno nawet bona fide głosić poglądy niesłuszne i szkodliwe, nie wolno mu jednak posługiwać się kłamstwem, fałszem, nienawiścią i przewrotnością.

Co Jan Dobraczyński napisał o emigracji politycznej w katolickim piśmie w Kraju? Pokrótce: stwierdził, że wszyscy Polacy na Zachodzie panicznie się boją kontaktów z osobami przybyłymi z Kraju, gdyż by im to mogło zaszkodzić i dostaliby się na „listę podejrzanych". Że na emigracji istnieją trzy ośrodki polityczne, z których jeden jest obozem „wojskowej dyktatury" (to ten właśnie, który jednoczy wszystkie polskie partie polityczne). Że wszystkie te ośrodki biorą obce pieniądze, ale równocześnie, że każdy z nich posiada swój „skarb narodowy", z którego się politycy utrzymują. Kłamstwo często się plącze we własnych sidłach, bo niby jak pogodzić „obce pieniądze" z utrzymywaniem się na koszt „skarbu narodowego"? Wszyscy, dosłownie wszyscy emigranci siedzą w amerykańskiej kieszeni: „katolicy dostają od katolików, sanatorzy od masonów, tzw. lewicowcy od trockistów. Z pieniędzmi tymi związane są pewne żądania. Tylko ich istnieniem mogę sobie wytłumaczyć absolutną wstrzemięźliwość w wypowiadaniu się przeciwko uzbrajaniu Niemiec zachodnich i przeciwko roszczeniom niemieckim wobec polskich ziem. Gdy się rozmawia pojedynczo z emigrantami, ci przyznają na ogół, iż tworzenie nowego Wehrmachtu jest dla Polski potwornym niebezpieczeństwem. Ale nigdy niczego takiego w swoich pismach nie napiszą... Ogromna większość emigrantów, z którymi rozmawiałem, rozumie dobrze grozę uzbrajania na nowo Niemiec zachodnich. Rozumie — a jednak nie śmie pisnąć o tym bodaj słówkiem."

Byłoby poniżej naszej godności udowadniać, że każde słowo pana Dobraczyńskiego jest pospolitym kłamstwem, natomiast możemy zauważyć, że na ziemiach polskich po Odrę i Nysę, jak również na ziemiach oderwanych na wschodzie nie życzymy sobie nie tylko Niemców, ale również i okupacji sowieckiej.

Warto zwrócić uwagę na swoisty żargon w artykule p. Dobraczyńskiego, świadczący, że przynajmniej część jego wypowiedzi napisana została pod dyktando „his master's voice". Tacy np. „trockiści"! Mara ta straszy ciągle na



Jan Dobraczyński

Kremlu i w Belwederze, ale żeby komuś na Zachodzie w roku 1955 do głowy przychodzili trockiści...

W dalszym ciągu artykułu używa p. Dobraczyński wstrętnego chwytu, wkładając w usta emigrantów „narzekania na rodziny w Kraju domagające się wciąż nowych lekarstw": „Cóż oni — podkreśla — robią z tymi lekarstwami — skarżyli mi się — i skąd oni wiedzą o takich jakichś specyfikach, o których my tutaj nie mamy pojęcia!" Znieważanie tych maluczkich, którzy z radością co tydzień wysyłają paczki do Polski, zewsząd, gdzie tylko biją serca polskie, aby dać rodzinom ten skromny dowód miłości i pamięci, jest doprawdy niegodziwe.

Potem w artykule idzie seria apelów do szarego człowieka na emigracji, któremu „nie pozwolono wrócić do ojczyzny". A więc, że w Polsce panuje „duma z wyników pracy i entuzjazm wobec posuwającego się dzieła przebudowy", że rozrywki (kina i teatry) są tańsze niż na Zachodzie, że słuchanie radia zachodniego jest niewielką przyjemnością („osobiście nie słucham go wcale, gdyż wydaje mi się przeraźliwie nudne" — pisze p. D. Jak to, swoją drogą, można nie słuchać i równocześnie wiedzieć, że jest nudne, to raczej zagadka.) No i te „przeogromne przemiany". Katolikom nikt w Polsce nie przeszkadza praktykować wiary, a na pogłoski o kościele narodowym p. Dobraczyński „wzrusza ramionami", dodając: „Kto tak mówi, nie zna dzisiejszej Polski".

Na tle tej sielanki Jan Dobraczyński jeszcze raz maluje piekło emigracji, gdzie ludzie „boją się rozmawiać z przybyszem z kraju", gdzie „panuje „terror myślowy", gdzie „policja nie ufa emigrantom z wyjątkiem tych, którzy z nią współpracują"; jeśli na Zachodzie zdarzy się, że Polaka przyjmują w obcym domu, to jest to „niebywały wprost wyjątek"; w prasie i literaturze zachodniej każdy Polak, to „czarny typ", kroniki kryminalne roją się od polskich nazwisk. Jedynym promykiem nadziei są warszawskie konsulaty. Biedni emigranci „ukradkiem flanują" pod ich bramami, ale „im brak odwagi, by wejść, zaryzykować, zaufać".

Nie omieszkał też Jan Dobraczyński podjąć małej przejażdżki po prasie i wydawnictwach emigracyjnych. Pisma emigranckie posiadają ponoć „mikroskopijne nakłady", chociaż wokół nich „gromadzi się cały tłumek ludzi pisujących (niestety, przerażającą polszczyzną)".

Uwagi o pisarzach i piśmiennictwie na emigracji są tak charakterystyczne dla metody kłamstwa i oszustwa Jana Dobraczyńskiego, że je najlepiej przytoczyć dosłownie:

„Na emigracji żyje wielu ludzi o poważnych nazwiskach w dziedzinie kultury. W Anglii np. mieszka Zofia Kossak, autorka „Krzyżowców", w USA Melchior Wańkowicz, K. Wierzyński, w Meksyku — T. Parnicki... Cóż oni robią? Piszą... Ale co wydają? Zofia

Niejednokrotnie już omawialiśmy na łamach naszego pisma działalność „katolików społecznie postępowych" w Polsce. Działalność ta rozwija się w ostatnich czasach coraz szerzej, przy równoczesnym zaniku możliwości działania i pracy prawnych ordynariuszy diecezji i całego społeczeństwa. „Katolicy społecznie postępowi" są coraz głośniejsi w Polsce, Kościół coraz bardziej zmuszany do milczenia.

W jednym z najbliższych (lipcowym) dodatku „ŻYCIE KRAJU" podamy fakty tej nowej fazy działalności oportunistycznych i zbłąkanych wyręczycieli Kościoła, oraz tych faktów oświetlenie. Już jednak w tym numerze uznaliśmy za konieczne zajęcie się osobą Jana Dobraczyńskiego i jego akcją, dziś już niezupełnie literacką. Bezpośrednim powodem zajęcia się Dobraczyńskim jest jego artykuł w nrze 17/55 „Tygodnika Powszechnego" pt. „Emigranci", artykuł szczególnie nawet jak na typ publicystyki tej grupy ludzi obrzydliwy i kłamliwy.

REDAKCJA

Kossak wydała w ciągu dziesięciu lat emigranckiego życia jedną jedyną książkę — „Przymierze". Wańkowicz kilka książeczek, właściwie broszurek: ostatnio powieść. Pietrkiewicz — trochę wierszy i powieść (po angielsku). Parnicki napisał dwie powieści, z których żadna nie ukazała się drukiem i chyba nie ukaże, ponieważ... zbyt wiele liczy stron. No tak, książka, aby mogła być wydana, musi się opłacać. Chyba, że ktoś na to daje, jak musiał dać na pochwalny panegiryk ku czci własnego bohaterstwa, napisany przez p. Korbońskiego, kierownika Walki Cywilnej z okresu okupacji. Przeciętna powieść kosztuje ok. 600 frs. Ale to musi być książka o nakładzie przynajmniej 6.000 egzemplarzy. Książki polskie wychodzą w nakładach 500-1000 sztuk, więc cena ich wynosi 1000-1500 frs."

Zofia Kossak „wydała w ciągu dziesięciu lat emigranckiego życia" nie jedną książkę, ale nie licząc szeregu przedruków jej przedwojennych utworów w „Bibliotece Orła Białego" i „Polskiej YMCA" w Rzymie, napisała i wydała: „W otchłani", nową wersję „Błogosławionej winy", „Przymierze" (po polsku i po angielsku), „Kielich krwi" i „Rok polski". Niemal wszystkie tomy obszerne, kilkusetstronicowe. Na warsztacie ma nową powieść o tematyce biblijnej. Wańkowicz wydał nie „kilka książeczek, właściwie broszurek", lecz (nie licząc pięciu książek napisanych do roku 194? w Rumunii i Palestynie): ogromną trzytomową trylogię „Bitwa o Monte Cassino", doskonale znaną w Kraju, „Kundlizm", „Wrzesień żagwiący", „Na Litanie de la Faim" (prawda obcym o Bolszewii), „Klub trzeciego miejsca", „Ziele na kraterze", „Tworzywo", „Jak daleko?", „Polacy i Ameryka", „Międzyepoka". Po większej części ogromne, sute tomiska. Jeśli co można zarzucić Wańkowiczowi, to raczej to, że pisze i wydaje zbyt dużo. Pietrkiewicz wydał nie „trochę wierszy i powieść (po angielsku)", ale trzy tomy prozy po polsku i co najmniej z pięć dużych zbiorów poetyckich. Parnicki napisał nie dwie, ale trzy powieści, z których jedną recenzował kiedyś w „Tygodniku Powszechnym" Gołubew, mianowicie dwutomowe „Srebrne orły". Czy istotnie Parnicki ukończył dwie nowe powieści, bliżej nam nie wiadomo, gdyż autor bodaj nie zwraca się do wydawców.

Książki polskie na obczyźnie wychodzą w nakładach nie 500-1000 sztuk, ale w znacznie większych. Mógł się o tym dowiedzieć p. Dobraczyński przekonać biorąc do ręki pierwszą lepszą książkę „emigrancką", np. którąś z dochodzących do jego redakcji (do czasem recenzowanych) tomów „Biblioteki Polskiej", gdzie w metryczkach czarno na białym stoją cyfry nakładów. Dowiedziałby się, że np. antologia „Od Kochanowskiego do Staffa" wyszła w ilości 3.000 nakładu, „Apokryfy" w 2.500, „Czasy wojny" Goetla w 2.000 itd. Najniższy przeciętny nakład książki emigracyjnej wynosi zatym 1500 egzemplarzy.

Zresztą, czegóż p. Dobraczyński wymaga? W kraju żyje 27 milionów ludności, emigracja polityczna można szacować z dużym optymizmem na ćwierć miliona osób. A jakież to nakłady posiada np. „Pax"? Jeżeli wierzyć metryczkom, czytamy czarno na białym: „Dzieje Chrystusa" D. Ropsa (rok 1950) — 8.200, Jana Dobraczyńskiego „Gwałtowniey" (rok 1951) 5.350, itd., po pięć, najwyżej dziesięć tysięcy. I to dla 26 milionów katolików! Czy aby ironia nie godzi w samego ironistę?

Nie będziemy, oczywiście, posługiwać się metodą p. Dobraczyńskiego, gdyż wiemy, że w Kraju nie wolno drukować większych nakładów katolickich książek. Nasze nakłady są małe, ale nikt i nic ich nie ogranicza ani w treści ani w wysokości nakładu.

Ale po cóż to pisać? Wszak pan Dobraczyński, jeśli te słowa przeczyta, nakłamie znowu pod dyktando mocodawców, że te emigranckie książki wydawane są za obce pieniądze, za cenę pewnych ograniczeń, za milczenie na temat Odry i Nysy oraz zbrodni niemieckich i tak wkoło Macieju, aby dalej je dawały.

Wszystko, co wyżej wypisano, nie jest, broń Boże, rozdrapywaniem cudzego sumienia, sumienia Jana Dobraczyńskiego, lecz tylko naświetleniem [illegible] kłamliwej, przewrotnej, która oparta na złej wierze, nie może być uważana za katolicką. Istnieją dwie możliwości: albo Dobraczyński jest najmitą komunistów, odzianym w skórę katolickiego baranka albo okazem tak spreparowanej psychiki, że widzi rzeczy na opak i głosi poglądy sprzeczne zarówno z pierwszymi zasadami moralności jak i ze zdrowym rozsądkiem.

Głównym błędem w walce świata zachodniego z komunizmem jest skierowanie całej uwagi i całego wysiłku na grze i argumentacji politycznej i społeczno-gospodarczej. A tymczasem komunizm wypowiedział światu wojnę przede wszystkim **moralną**. Nie to ważne, jakie są zamiary sowieckie w Chinach czy w Ugandzie, ani to, czy i jak prowadzić handel z Sowietami i krajami satelickimi, ani to, jakie kroki poweźmie delegacja sowiecka w ONZ, ale to, i przede wszystkim to, jest ważne, że dla komunistów nie ma umów, uczciwości, zobowiązań, honoru, etyki. I ideolodzy komunistyczni wcale tego nie tają, przeciwnie głoszą od wielu lat wyraźnie i konsekwentnie, że dla nich istnieje tylko moralność „klasowa", a ściślej partyjna, a jeszcze ściślej przywództwa partyjnego. Że dobre i słuszne jest tylko to, co służy partii w danym momencie.

Katolicy polscy na emigracji mniej są zajęci rozpatrywaniem politycznych i społecznych celów komunizmu, aczkolwiek łączą się one ściśle z całokształtem ich dążeń, lecz walczą i będą walczyć przeciwko gwałceniu przez komunistów religii i moralności chrześcijańskiej, wypływającej z nauki Chrystusowej. Katolicy polscy poza Krajem potrafią, wbrew temu, co pisze pan Dobraczyński, dostrzec także pozytywne osiągnięcia reżymowe w Kraju. Pismo nasze nieraz temu dawało wyraz, dalekie od twierdzenia, jakoby wszystko, co się dzieje w Polsce, miało służyć celom światowego komunizmu. Jesteśmy pewni, że wielu polskich komunistów ma nie tylko ojczyznę, lecz może i potajemnie Boga w sercu. Więcej nawet, ufamy, że niektórzy komuniści polscy pragną służyć przede wszystkim, albo i wyłącznie, swemu narodowi. Ufamy, że po odpłynięciu czerwonej fali bardzo wielu komunistów będziemy mogli usprawiedliwić, uznać za ludzi i Polaków uczciwych.

Nie możemy tylko być obojętni na sianie w naszym Kraju **moralności komunistycznej.** Z bólem serca musimy stwierdzić, że w awangardzie głoszenia tej moralności kroczą dziś „katolicy społecznie postępowi", świadomie wyręczając marksistów. To jest największa szkoda, jaką wyrządzają wierze i swemu narodowi, usiłując bezbożnictwu i sprzecznej z etyką doktrynie dać sankcję katolickiej aprobaty. Poglądy polityczne i społeczne katolików reżymowych są naiwne, niemal śmieszne, i nikt ich zapewne nie bierze poważnie, a już najmniej partnerzy komunistyczni. Ale rak zła toczy już i sumienia. „Katolicy społecznie postępowi" wkroczyli na drogę moralności antychrystusowej.

Artykuł Jana Dobraczyńskiego o emigracji jest przykładem zrakowaciałego sumienia.

Jan Bielatowicz

CZY PRENUMERUJESZ STALE KSIĄŻKI „BIBLIOTEKI POLSKIEJ"?

MARIAN CHEŁMIKOWSKI

Z PRZESZŁOŚCI OXFORDU

Oxford bardziej może niż inne miasta angielskie przypomina niemą mową swych świątyń i swych kolegów uniwersyteckich, że Anglia była krajem katolickim, że tętniło tu kiedyś wyłącznie życie katolickie, które wbrew prześladowaniom okazywało i okazuje zdolność przetrwania i regeneracji.

Oxford jest jednym z tych centrów życia angielskiego, które na tle agnostycyzmu czy obojętności religijnej znacznego odłamu angielskiej warstwy intelektualnej budzi nadzieję nie od dzisiaj, które woła coraz donośniej i z coraz większym uzasadnieniem: „Resurgam" katolicyzmu w Anglii.

Spójrzmy więc w przeszłość tego miasta, jednego z najpiękniejszych na świecie, którego wdzięk i urok, którego położenie i architektura, którego wibrujące od ośmiuset lat bez przerwy, niesłychanie intensywne życie intelektualne i artystyczne wciąga w jakiś zaczarowany krąg każdego, kto się z nim zetknie.

Oczywiście Oxford — to przede wszystkim uniwersytet, jeden z najstarszych i najszacowniejszych na świecie. Historycy zgodni są co do tego, że Oxford ustępuje nieznacznie tylko Paryżowi i Bolonii jako siedzibom pierwszych uniwersytetów, znanych pierwotnie raczej pod nazwą ‚studium generale', niż ‚universitas'.

Przez pewien czas utrzymywała się tradycja średniowieczna, którą później ożywił sfałszowany przez Camdena dokument o założeniu uniwersytetu przez króla Alfreda. Dzisiaj nikt w te bajki nie wierzy. Trudno jest też precyzować jakąś określoną co do roku datę powstania uniwersytetu oksfordzkiego. Sir Charles Mallet w swej „Krótkiej historii uniwersytetu oksfordzkiego" przyjmuje tutaj okres panowania Henryka II (1154 — 1189), pierwszego króla dynastii andegaweńskej. Inni historycy zwężają jeszcze ten przypuszczalny okres do lat 1160 — 1170, kiedy jedna lub dwie mniej lub więcej przymusowe wędrówki studentów i wykładowców angielskich z będącego już wówczas w rozkwicie studium generalnego paryskiego dały impuls do rozszerzenia istniejących w Oxfordzie od pewnego czasu ośrodków nauczania. W okolicy Oxfordu — w Abingdonie, Eynsham i Oseney — istniały wielkie fundacje klasztorne, opactwa benedyktynów, cystersów i kanoników reguły św. Augustyna, prawdziwe twierdze kultury średniowiecznej. Wiele przemawia za tym, że w wykonywaniu swych zadań wychowawczych zakonnicy utrzymywali szkoły w Oxfordzie. Istnieją też pewne ślady, że już za Henryka I, najmłodszego syna Wilhelma Zdobywcy, a dziadka Henryka II, odbywały się wykłady w Oxfordzie. Wymienia się Teobalda z Etampes, Roberta Pullen i Wakariusza, wielkiego prawnika lombardzkiego, którzy mieli prowadzić kursy wykładowe dla klarków (czy kleryków, jeśli kto woli) w latach od 1117 do 1149. Kontakt z ośrodkami nauczania za granicą, głównie w Paryżu, a następnie wspomniane już wygnanie studentów obcokrajowców z wszechnicy paryskiej i zakaz Henryka II wyjazdów na studia za granicę — wszystko to powoli prowadziło do krystalizowania się samodzielnej, zorganizowanej na wzór paryski uczelni oksfordzkiej.

Miasto Oxford było znacznie starsze od uniwersytetu, który tam sobie obrał siedzibę. Wymienione jest w 912 r. jako posiadłość Edwarda Starszego, jednym tchem z Londynem. Jakkolwiek ustępowało wówczas znaczeniu położonemu o kilka mil w górę Tamizy Abingdonowi, musiało być miejscowością pokaźną, o czym świadczą choćby wielokrotne napady Duńczyków, które niszczyły miasto. Zresztą fakt, iż tu właśnie powstała pierwsza angielska wszechnica, pozwala przypuszczać, że Oxford w XII stuleciu nie był poślednim miastem.

Między miastem a uniwersytetem w nim się mieszczącym szybko zaczęła się wytwarzać rywalizacja. Przeciwstawienie TOWN i GOWN (miasto i toga) stało się chlebem powszednim i często i gęsto zabarwiało historię Oxfordu czerwienią krwi. Prawie zawsze jednak miasto musiało ustępować, musiało drogo płacić za swoją krewkość wobec żaków czy klarków. Niekiedy przeciwstawność interesów town-gown otwierała szersze perspektywy, gdy np. w 1208 r. mieszczanie powiesili dwóch klarków a jednak musieli ustąpić, choć byli popierani przez króla Jana (Bez Ziemi). Uniwersytet od samego początku zyskał sobie potężną protekcję Kościoła, był przecież poniekąd instytucją kościelną; wszak nauka w średniowieczu była domeną niemal wyłączną zakonów i duchowieństwa. Owe wykroczenia mieszczan, które spowodowały rozproszenie czasowe studentów, zostały poskromione a legat papieski w 1214 r. podyktował warunki ułożenia sporu w oświadczeniu, które jest pierwszym przywilejem uniwersytetu oksfordzkiego. Mieszczanie musieli obniżyć czynsze mieszkalne dla studentów, a poza tym zobowiązali się płacić roczną daninę na rzecz uniwersytetu, która nota bene uiszczana jest po dziś dzień. Wtedy to na przechowanie tej daniny sporządzono specjalne skrzynie (University Chests), które z czasem nadały nazwę administracji finansowej uniwersytetu.

Przywilej z 1214 r. był pierwszym krokiem na drodze ujarzmienia miasta przez wszechnicę. Wiek XIII a także i XIV obfitują w krwawe i zacięte walki i zamieszki, głównie między mieszczanami a mnożącymi się coraz bardziej studentami, czasami jednak między pewnymi grupami samych studentów, między „narodami", jak to wówczas określano (natio). Najkrwawsza i w skutkach swych najdonioślejsza walka odbyła się w dzień św. Scholastyki w 1355 r. Mieszczanie i okoliczni wieśniacy wdarli się do kolegiów i szkół, zdemolowali je i puścili z dymem niektóre z nich. Po poskromieniu tego krwawego ekscesu kanclerz uniwersytetu otrzymał szeroką władzę nad miastem i nad jego życiem gospodarczym. Miasto Oxford musiało ugiąć się przed tą społecznością żaków i ich nauczycieli, za którą przecież stała potęga Kościoła i państwa.

Kościół Panny Maryi przy głównej ulicy Oxfordu (tj. High Street) był przez długie lata punktem centralnym, dokoła którego skupiało się życie uniwersytetu. „Wielka Kongregacja Regentów i Nie-Regentów" (regentami nazywano wykładowców), właściwy parlament, władza deliberująca i ustawodawcza uniwersytetu zbierała się na chórze kościoła, w kościele samym też odbywały się różne uroczystości, jak nadawanie stopni. Przypuszcza się, że pierwszy ‚magister artium', o którym zachowały się zapiski — św. Edmund Rich — arcybiskup Canterbury i wielki uczony, otrzymał tam właśnie swój stopień akademicki. Dopiero w XIV wieku biskup Cobham z Worcester wyasygnował środki na wybudowanie pomieszczenia dla Kongregacji i biblioteki uniwersyteckiej.

Uniwersytety angielskie w średniowieczu, tj. uniwersytety w Oxfordzie i w Cambridge, różniły się od większości uniwersytetów na kontynencie swoim partykularyzmem czy raczej odśrodkowością swej budowy organizacyjnej. Uniwersytety angielskie nie rozwijały się w myśl jakiegoś z góry powziętego i konsekwentnie wykonywanego planu. Istniały szczególne przyczyny, dla których Oxford stał się skupiskiem studentów. W słynnym spisie, przeprowadzonym z nakazu Wilhelma Zdobywcy, tzw. Domesday Book, naliczono w Oxfordzie ponad 700 domów, z których blisko 500 było nie zamieszkanych albo walących się. Należy przypuszczać, że Oxford z chwilą ustabilizowania się silnej władzy państwowej za Wilhelma przestał pełnić swą rolę schroniska dla okolicznej ludności, narażonej do niedawna na napaści duńskich piratów, które ją nękały przez setki lat.

Istnienie wielkiej ilości wolnych pomieszczeń zaważyło więc również na wyborze nowego ośrodka nauki. Pierwotnie nie było osobnych hallów czy kolegiów, których jedynym przeznaczeniem byłoby dostarczanie dachu nad głową studentom i wykładowcom i prowadzenie niemal wspólnego gospodarstwa. Mieszczanie oksfordzcy podnajmowali po prostu pokoje studentom i dostarczali im posiłków, czasami jednak odnajmowali na te cele całe domy. Dopiero pod koniec XIII wieku zaczęły powstawać kolegia jako fundacje możnych osobistości kościelnych czy świeckich — np. Mertona, biskupa Rochesteru i kanclerza królewskiego, czy Balliola, ojca króla szkockiego. Ale i te kolegia początkowo były po prostu rzędem przylegających do siebie domów, wykupionych przez fundatora, w których osadził studentów i magistrów i wyznaczył kogoś starszego jako kierownika. Ten prototyp kolegium zachował się jeszcze częściowo w Worcester College, wprawdzie jednej z późniejszych fundacyj, która jednak przejęła taki właśnie rząd domków zakupionych w 1283 r. dla młodych zakonników z Gloucestershire, studiujących w Oxfordzie.

University College, Merton i Balliol otrzymały ‚ex post' pewne statuty, które formalizowały i legalizowały stan istniejący. Kolegia i halle stały się odtąd regularną instytucją i najważniejszym ośrodkiem krystalizacyjnym życia uniwersyteckiego. W bogobojnej atmosferze średniowiecza bogaty fundator ofiarowywał dzieło swe na chwałę Bogu, tworzył społeczność ludzi oddanych nauce, by mogli potem służyć Kościołowi i Państwu. Nakładał na nich również obowiązek pamiętania w swych modlitwach o fundatorze i innych dobroczyńcach. Związek między trzema częściami Kościoła Powszechnego tj. Kościołem Walczącym, Cierpiącym i Tryumfującym, był wówczas znacznie żywszy. Kolegium All Souls, które n.b. nie przyjmuje studentów i którego celem jest umożliwienie badań naukowych swym członkom (fellows), zasługuje na szczególną tutaj wzmiankę, bo może w sposób wyjątkowo jasny i wyraźny wciela ideę przepojenia zakładu naukowego duchem religijnym i pamięcią o zmarłych i w samej swej nazwie intencję tę zawiera. Założone w 1438 r. przez arcybiskupa Chichele, nazwane było „Custos et Collegium Animarum Omnium Fidelium Defunctorum de Oxonia". Było to pomyślane jako uczczenie pamięci poległych i zmarłych w wielkich kampaniach wojennych Henryka V i Henryka VI, które po początkowych powodzeniach (słynne zwycięstwo pod Agincourt) skończyły się wypędzeniem Anglików z Francji głównie w wyniku akcji św. Joanny d'Arc.

Przymierze nauki z Kościołem było w praktyce Oxfordu faktem nie ulegającym żadnej zgoła wątpliwości. Teologia uchodziła za najwyższą dyscyplinę naukową. Nie znaczyło to jednak zaniedbania innych gałęzi — filozofii i nauk przyrodniczych, w których to dziedzinach Arystoteles był głównym przewodnikiem.

Już w pierwszym okresie swego istnienia Oxford wsławił się nazwiskami wybitnych uczonych — Roberta Grosseteste, Adama Marsha, a przede wszystkim Rogera Bacona. Dwaj ostatni byli franciszkanami. Grosseteste (umarł dokładnie 700 lat temu i rocznicę tę uczczono wydaniem nowej biografii), który został później biskupem Lincolnu, wykładał teologię w szkole franciszkańskiej w Oxfordzie. Osiedlenie się w Oxfordzie dominikanów i franciszkanów między 1200 a 1230 dało nowy impuls życiu intelektualnemu tego nowego ośrodka nauki. Franciszkanami byli też późniejsi wybitni uczeni i myśliciele, którzy zabłyśli na firmamencie oksfordzkim — John Duns Scotus (Doktor subtilis) i William Ockham. Ten ostatni występował wprawdzie przeciwko nadmiernej, jak utrzymywał, władzy papieża, w czym w późniejszej generacji podtrzymywał go John Wycliffe, tłumacz na angielski Pisma Świętego, ale też jakby prekursor reformacji. Był on przez kilka lat kierownikiem (master) Balliol College (w drugiej połowie XIV wieku).

Wiek XV, wiek wielkiej schizmy w Kościele (papieże i antypapieże) i wojen domowych w kraju, był okresem raczej zastoju czy nawet upadku życia intelektualnego. Powstawały jednak nowe kolegia, książę Gloucester (Duke Humphrey) obdarzył uniwersytet doskonałą na owe czasy, biblioteką, umieszczoną ponad wspaniałą gotycką Divinity School, wykańczaną przez kilkadziesiąt lat. Koniec tego stulecia ożywił znowu nurt twórczości naukowej, znajdującej się teraz pod działaniem promieniującego z Włoch wpływu humanizmu. Na gruncie Oxfordu pojawia się najpierwszy z humanistów — Erazm z Rotterdamu, otoczony rodzimą plejadą pierwszorzędnych umysłów — Grocyn, Linacre, Colet i św. Tomasz More. Skończył się okres nauki średniowiecznej, otwierały się nowe perspektywy, bardzo na pozór obiecujące, pełne jednak zasadzek i niebezpieczeństw, jak się wkrótce okazało.. Oxford rozwijał się pomyślnie dzięki przymierzu Państwa z Kościołem — obydwu z równą troskliwością dbających o pielęgnowanie nauki. Samowola i tyrania władcy świeckiego tę harmonię niweczyła, co Oxford niebawem miał odczuć boleśnie.

Marian Chełmikowski

Z PRZEMÓWIEŃ PAPIESKICH

POSŁANNICTWO FRA ANGELICO

Przemawiając na otwarciu w Pałacu Watykańskim wystawy arcydzieł Fra Angelico, Papież stwierdził, że pokorny zakonnik był geniuszem, który potrafił wznieść się na najwyższe szczyty sztuki, czerpiąc inspirację z misteriów wiary. W jego mistycznych wizjach piękno i harmonia przekraczają granice ludzkie, otwierając jak gdyby okno do nieba. Arcydzieła jego są wieki trwającym stwierdzeniem doskonałego porozumienia sztuki z religią.

Fundamenty sztuki fra Angelico. Są dwa filary, na których opiera się sztuka fra Angelico: to głęboka religijność i doktryna tomistyczna.

Głęboka religijność, pogodna i surowa asceza, gruntowne cnoty, kontemplacja i modlitwy wywarły decydujący wpływ na ekspresję artystyczną fra Angelico. Sprawiają one, że sztuka jego przemawia jak modlitwa, zgodnie zresztą z często powtarzaną przez artystę maksymą: „kto czyni rzeczy Chrystusowe, musi być zawsze z Chrystusem".

Kultura fra Angelico oparta była na doktrynie o wszechświecie nabytej w szkole wieczystej filozofii tomistycznej. Angelico podobnie jak św. Tomasz wychodzi z natury, którą kocha najgoręcej (appassionamente), ponieważ jest ona dziełem i odbiciem Boga. Jego wizja artystyczna świata nie jest ani okaleczałą ani częściową tylko, ponieważ dla Angelica piękno identyfikuje się z prawdą, z dobrem, z tym co święte, doskonałe i czyste. Ponadto z doktryny św. Tomasza nauczył się Angelico wielkiej syntezy wszechświata, który jakkolwiek różny jest w swych elementach, bierze początek od Boga i wraca do Boga po przebyciu swej drogi. Tę syntezę widzi się w kompozycjach fra Angelico, na których Aniołowie, Święci, zakonnicy i dziewice otaczają tron Odkupiciela i Jego Matki.

Religijność sztuki fra Angelico, a) ze względu na sposób i metodę: malarstwo Angelica jest religijne nie tylko ze względu na tematykę, lecz także ze względu na sposób i metodę wykonania. Angelico przyzwyczajony do pełnej pokoju dyscypliny zakonnej dąży do osiągnięcia jej także w technice swej sztuki, która staje się przez to czysta i pogodna. Nawet światło w przestrzeni i osobach jest światłem niebiańskim, o ile jest to do osiągnięcia.

b) **ze względu na odbiorców:** inną jest sztuka fra Angelico, gdy przeznaczona jest dla ogółu, inną — gdy dla zakonników. Gdy dla ogółu opowiada i przedstawia Boskie misteria, czyni to jak wprawny kaznodzieja, starając się wzbudzić bezpośrednio podziw środkami opisowymi i dekoratywnymi, a przez to przemawia spokojniej do głębi duszy. Gdy natomiast tworzy dla zakonników, przyzwyczajonych do medytacji rzeczy Bożych, daje im przedmiot do kontemplacji i by uniknąć rozproszenia, usuwa ostre tonacje światła i koloru, nie daje zbyt wielu osób, unika gestów, ciała stają się jakby przeźroczyste i o lekkości nadziemskiej, znikają części dekoratywne tak drogich malarzowi obrazów toskańskich i form architektonicznych Brunelleschi'ego, a rezultatem tych wszystkich wyrzeczeń staje się osobliwy wyraz uduchowienia, liryzm duchowy.

c) **ze względu na malowanie człowieka:** Angelico w sztuce swej opiera się na zasadzie przetworzenia przez religię człowieka, tak że staje się on podobny do Boga, w świętości, w pięknie, w szczęśliwości. Święci, a także i ludzie zwykli nie wyrażają w obrazach jego niepewności i udręczeń porządku intelektualnego: cieszą się pokojem, jaki daje zazwyczaj posiadanie prawdy; uczucia potężne i słabsze i wszelkie inne reakcje ludzkie są zawsze przez fra Angelico złagodzone poprzez wewnętrzne opanowanie duszy. Cnoty przedstawia Angelico nie tyle w wysiłkach dla ich osiągnięcia, jak raczej w szczęśliwym ich posiadaniu przez człowieka.

Posłannictwo fra Angelica. Świat malarski fra Angelica jest więc światem idealnym, tchnącym pokojem, świętością, harmonią i radością. Jest światem który urzeczywistni się dopiero w przyszłości, kiedy to na nowej ziemi i w nowych niebiosach zatryumfuje ostateczna sprawiedliwość; jednak ten świat radosny i szczęśliwy może już dzisiaj stać się rzeczywistością wewnątrz naszych dusz i do tego właśnie swym malarstwem zaprasza fra Angelico. Na tym zdaje się polegać posłannictwo genialnego zakonnika-malarza.

Zadanie sztuki. „To prawda, że od sztuki nie wymaga się wyraźnej misji etycznej czy religijnej. Sztuka jednak, jako estetyczny wyraz ducha ludzkiego, jeżeli oddaje go w jego całkowitej prawdzie, lub przynajmniej, jeżeli go nie zniekształca w jego pozytywnych wartościach, już przez to samo jest święta i religijna, w tym wszystkim mianowicie, w czym jest interpretatorką dzieła Bożego. Jeżeli treść i celowość sztuki będą takie, jakie swej twórczości wyznaczył Angelico, wówczas wyrasta ona do godności jakby kapłańskiej (quasi di ministro di Dio), odzwierciadlając większą liczbę doskonałości Bożych. Tę wzniosłą możliwość sztuki chcielibyśmy ukazać tak przez Nas umiłowanej rzeszy artystów."

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

I-huo-toan. Jak o tym pisaliśmy, w niedzielę dnia 17 kwietnia odbyła się uroczystość beatyfikacyjna 56 Męczenników z roku 1900 w Chinach. Jeżeli dodamy do nich innych wyniesionych na ołtarze Męczenników z czasów prześladowań w Chinach w latach 1648-1900, a mianowicie wyniesionych przez Leona XIII, św. Piusa X i Piusa XII w latach 1889, 1893, 1909, 1946 i 1951, otrzymamy 119 Błogosławionych Kościoła w Chinach, jako wzory do naśladowania przez tamtejszy Kościół cierpiący obecnie prześladowanie religijne na równi z innymi krajami pozostającymi pod rządami komunistycznymi. W związku z ostatnią uroczystością beatyfikacyjną „Osservatore Romano" w numerze z dnia 23 kwietnia zamieścił artykuł jezuity Pasquale d'Elia wykazujący, że Męczenników z roku 1900 nie należy nazywać Męczennikami powstania bokserskiego, ponieważ ta nazwa przyjęta została błędnie na Zachodzie na skutek nieznajomości języka chińskiego. Chiny, jak wiadomo, utraciły część wybrzeża na rzecz różnych państw europejskich, które ponadto podzieliły między sobą Chiny na sfery swych wpływów, o czym Chińczycy się wyrażali, iż kraj ich stał się jakby melonem, który państwa europejskie podzielą między siebie na kawałki. W tych warunkach powstał związek mający za cel wydostanie się Chin spod władzy cudzoziemców. Związek ten nosił najpierw nazwę „I-huo-cchiuen", co znaczy „Walka o sprawiedliwość i zgodę", a później nazwę „I-huo-toan", co znaczy „Związek dla sprawiedliwości i zgody". Nazwa pierwsza została mylnie przetłumaczona na „ruch bokserów". Wobec tego prześladowanie religijne w r. 1900 należałoby nazywać od imienia cesarzowej Ts'u Hsi, podobnie jak mówi się o prześladowaniu za Nerona, Dioklecjana, Juliana apostaty.

Nowi papiescy akademicy. W roku 1603 została założona w Rzymie Akademia Umiejętności pod nazwą Linceorum Academia, którą nazwano najstarszą z akademii nauk. Wśród swoich członków liczyła ona także Galileusza. Po różnych kolejach losu zorganizował ją Sługa Boży Pius IX w roku 1847 jako akademię papieską, pod nazwą Pontificia Accademia dei Nuovi Lincei. Miała ona swą siedzibę na Kapitolu, przeżyła zajęcie Rzymu i ostateczny zabór Państwa Kościelnego w roku 1870, mimo zoganizowania królewskiej Accademia dei Lincei. Po powiększeniu jej przez Leona XIII doczekała się za Piusa XI w r. 1922 nowej siedziby w ogrodach watykańskich w Casina di Pio IV, a w roku 1936 nowych statutów nadanych przez Motu Proprio „In multis solaciis". Akademia składa się z 70 członków mianowanych spośród najwybitniejszych uczonych świata z zakresu astronomii, biochemii, chemii, fizjologii, fizyki, patologii.

Obecnie Ojciec św. mianował na opróżnione fotele Akademii 14 nowych członków, wśród nich 7 uczonych nagrodzonych nagrodą Nobla. Są to: Max von Laue, profesor fizyki na uniwersytecie w Goettingen (nagroda za fizykę w 1914), Louis de Broglie, profesor fizyki teoretycznej na uniwersytecie w Paryżu (nagroda za fizykę w 1929), Werner Carl Heisenberg, profesor fizyki teoretycznej na uniwersytecie w Goettingen (nagroda za fizykę w 1932), Otto Hahn, prezes „Max Planck Gesellschaft" (nagroda za chemię w 1944), Artturi Ilmari Virtanen, profesor chemii na uniwersytecie w Helsinkach i prezes Akademii Finlandzkiej od jej założenia w roku 1948 (nagoda za chemię w 1945), Arne Tiselius, profesor biochemii w Upsali (nagroda za chemię w 1948), Walter Rudolf Hess, profesor fizjologii na uniwersytecie z Zurychu (nagroda za medycynę w 1949).

Jednym z nowomianowanych akademików jest Paul Niehans, senator uniwersytetu w Tuebingen, promotor i szerzyciel cellularterapii, mianowany na krzesło nr 48 opróżnione przez śmierć Aleksandra Fleminga. Dr Niehans znany jest ze swej działalności w Czerwonym Krzyżu w czasie wojny bałkańskiej i obu wojen światowych. W czasie pokojowym przeprowadził ponad 50 tysięcy zabiegów chirurgicznych. Lecz największym zadowoleniem jego życia, poświęconego łagodzeniu cierpień ludzkich i wyszukiwaniu nowych środków ulgi dla cierpiącej ludzkości, stało się zadowolenie z możności pośpieszenia z pomocą choremu Piusowi XII, jak to sam stwierdził: „Punktem kulminacyjnym mojego długiego życia jest łaska udzielona mi przez Boską Opatrzność, że mogłem pomóc Jego Świątobliwości Papieżowi Piusowi XII w jego ciężkiej chorobie w 1954 roku".

ZAWIADOMIENIE

Zmiana adresu odbiorców pism i książek „Veritasu" związana jest nie tylko z szeregiem formalności administracyjnych, ale i z technicznym sporządzeniem nowej kliszki adresowej, zmiany w kartotece itd.

Prosimy zatem uprzejmie naszych Prenumeratorów o dołączanie kwoty sh. 1/- (jeden szyling) na pokrycie kosztów związanych z każdą zmianą adresu.

Kwotę tę najlepiej przesyłać równocześnie z zawiadomieniem o zmianie adresu albo przy wpłacaniu prenumeraty.

Administracja
Katol. Ośrodka Wyd. „Veritas"

POGADANKI JĘZYKOWE

ŁACINA W POLSZCZYŻNIE

Narzekają puryści, że zbyt wysoki procent wyrazów języka polskiego jest pochodzenia obcego i że wskutek niedbalstwa językowego Polaków proces ten trwa w dalszym ciągu. Z purystyczną przesadą rozprawiłem się w Pogadance językowej p.t. „„W sprawie puryzmu" (ŻYCIE z 28. 2. 1954), ale nie ulega wątpliwości, że często używamy niepotrzebne wyrazów niepolskich w wypadkach, gdzie polskie oddałyby wiernie naszą myśl. Co się zaś dzieje z polszczyzną na emigracji, ogólnie wiadomo.

Wśród żywiołu obcego, który otrzymał w naszym języku prawo obywatelstwa, łacina zajmuje miejsce specjalne. Wpływu jej bowiem nie spowodowało bezmyślne naśladownictwo mowy sąsiadów, np. Niemców, albo snobistyczna moda na francuszczyznę w w. XVIII i później, ale przyjęcie przez Polskę wraz z wiarą rzymsko-katolicką kultury łacińskiej, która wycisnęła niezatarte piętno na naszej kulturze ojczystej.

Prawda, że „najazd" łaciny na polszczyznę przybierał wówczas formy przesadne, a nawet groteskowe, jak makaroznizm XVII w. Ale wynaturzenie to przezwyciężyli pisarze epoki stanisławowskiej, to zaś, co z mowy Rzymian w naszym języku pozostało — a pozostało bardzo wiele — wrosło w polszczyznę tak, że żadnym sposobem usunąć się nie da. Kto potrafi zastąpić „ambicję", „honor", „szkołę", „kredę" czy „bibułę" wyrazami bardziej polskimi?

Najlepszym dowodem, jak głęboko zakorzeniła się łacina w języku polskim, jest fakt, że nawet do mowy ludowej przedostały się latynizmy, zniekształcone nieraz do niepoznania: wiejski chłopak „absztyfikuje się" (od „amplificatio" — przesadne mówienie) do dziewczyny i stara się o jej względy „obcesowo" (od „obsessus" — opętany), robiąc tym rywalowi „na despet".

Tu jednak trzeba zrobić pewne zastrzeżenie. Podobieństwo jakiegoś wyrazu polskiego do wyrazu łacińskiego nie zawsze jest dowodem łacińskiego pochodzenia. „Matka" jest wprawdzie spokrewniona z łacińskim „mater", ale także z greckim „meter" lub angielskim „mother". Wszystkie te bowiem wyrazy, należące do rozmaitych języków indo-europejskich, pochodzą od wspólnego indo-europejskiego przodka. Grupy językowe: romańska, celtycka, słowiańska, germańska, bałtycka i inne — wywodzą się z jednego pnia indoeuropejskiego, a wspólność tego pochodzenia przejawia się w źródłosłowach wielu wyrazów w rozmaitych językach indo-europejskich. „Nowy" ma ten sam źródłosłów, co łacińskie „novus" (stąd franc. „neuf", włoskie „nuovo", hiszp. „nuevo"), greckie „neos" (daw. „newos"), ang. „new", niem. „neu", lit. „naujas", sanskr. „navas".

Jeżeli chodzi o nader liczne wyrazy polskie, które pochodzą bezpośrednio z łaciny, większość ich — to wyrazy międzynarodowe, przyjęte wraz z kulturą łacińską przez wszystkie narody, będące w zasięgu tej kultury. I jakkolwiek spora część tych wyrazów jest pochodzenia greckiego, to jednak i one przyszły do nas za pośrednictwem łaciny. Prócz spolszczonych słów łacińskich, używanych w potocznym języku, jak „matrona", „kościół", „arkusz", „student", „atrament", jest wiele wyrazów, należących do terminologii najróżniejszych dziedzin kultu.

W dziedzinie kościelnej (a ściślej biorąc — Kościoła rzymsko-katolickiego) mamy wyrazy pochodzenia łacińskiego jak: Msza, Komunia, brewiarz, konfesjonał, roraty, kantyczka, sakrament, beatyfikacja, pastorał, monstrancja itd.

W dziedzinie filozofii: racjonalizm, realizm, materializm, transcendentalny, immanentny, optymizm, pesymizm, relatywizm, pozytywizm itd.

W dziedzinie prawa, polityki i socjologii: socjalizm, komunizm, traktat, statut, konstytucja, pacyfizm, militaryzm, imperializm, legalizm, konserwatysta itd.

W dziedzinie sztuki i literatury: artysta, satyra, formizm, klasycyzm, naturalizm, deklamacja, aktor, koloryt, perspektywa itd.

W dziedzinie medycyny i farmacji: febra, okulista, atawizm, dentysta, kuracja, bakcyl, pigułka, różne nazwy lekarstw itd.

W dziedzinie matematyki: suma, kwadrat, funkcja, sinus, tangens itd. Pośrednio należy tu cyrkiel („circulus").

W dziedzinie fizyki i techniki: indukcja, kaloryfer, akumulatory, radio, antena, detektor, ciała radioaktywne itd.

W dziedzinie ekonomicznej: kredyt, gratis, klient, pryncypał, subiekt, parytet, akcja, dywidenda, procent, moratorium, firma, filia, merkantylizm itd.

W dziedzinie wojskowej: generał, dywizja, armata itp.

Ale ogromny wpływ mowy Rzymian na polszczyznę przejawił się nie tylko w słownictwie. Latynizacji podległ również styl pisarzy polskich — i to nie tylko staropolskich. Czytając niektórych naszych autorów, odnosimy wrażenie, jakbyśmy mieli przed oczami przekłady prozaików rzymskich. Owo znamienne orzeczenie na końcu zdania — by wymienić tylko jedną cechę — nadaje tokowi dawnej polszczyzny rytm cyceroński. I stan ten trwa u nas aż do połowy ubiegłego stulecia. Nawet jeszcze Mickiewicz nie był wolny od silnego wpływu stylu łacińskiego. W „Żywili" czytamy:

„To mówiąc, z mieczem na nieprzyjacioły blisko stojące godziła, czym lud wszystek, jakby kto ogniem po nich rzucił, poruszony, dopadłszy co kto mógł, z broniami na Rusiny, nic takowego nie spodziewające się, bieżał."

„Nikt jej nie widział przy okienku wieży
Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,
Oglądać niebo w pogodnej ozdobie..."

— mówi w „Konradzie Wallenrodzie" o Aldonie poeta, stosując tak znamienną dla łaciny, a nie używaną w języku polskim, składnię „accusativu cum infinitivo".

A i w ostatniej nawet dobie, mimo znacznego osłabienia omawianego wpływu, byli jeszcze wybitni pisarze, jak Wacław Berent, u których łacińskie cechy stylu wystąpiły wyraźnie.

Wstrzymując się od ogólnej oceny wartości tego zjawiska, należy jednak stwierdzić obiektywnie, że znane zalety łaciny, wynikające ze ścisłego myślenia Rzymian: logika i precyzyjność — musiały odegrać dodatnią rolę w kształtowaniu się mowy narodu tak emocjonalnego, jak Polacy.

Wig.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

Georges Zdziechowski LA COEXISTENCE EN THEORIE ET EN PRATIQUE. Commission de l'Europe Centrale & Orientale. Paris, Fevrier 1955. Stron 12, powielacz.

A TRIAL IN MOSCOW . Tenth Anniversary of the Capture of Sixteen Leaders of Underground Poland. Published by Information Division Executive Committee of Polish Council of National Unity. London (1955). Stron 14.

(Praca zbiorowa) DZIESIĘCIOLECIE POLSKICH ODDZIAŁÓW WARTOWNICZYCH PRZY ARMII AMERYKAŃSKIEJ W EUROPIE 1945 — 1955. Nakładem Funduszu Społecznego O. W. Mannheim 1955. Stron 328. Okładka płócienna, w tekście liozne ilustracje i wykresy.

Maria L. Danilewicz POLISH STUDIES. Reprinted from The Year's Work in Modern Language Studies. Volume XV, 1955. Nadbitka, stron 380 — 400.

Florian Śmieja PEDRO DE PADILLA AND GABDIELE FIAMMA. Reprinted from Philological Quarterly, vol. XXXIV, No. 1 (January 1955). Nadbitka, stron 10.

Zygmunt Nowak IN VINO VERITAS. „Rytm". Londyn 1954. Stron 24. Winieta i rysunki ręcznie wykonane przez autora do stu jedenastu tomików. Okładka kartonowa z rysunkiem. Zbiór wierszy.

Jerzy Pietrkiewicz DWADZIEŚCIA LAT POEZJI 1934 — 1954. Instytut Literacki, Paryż 1955. Stron 30.

Zofia Kozarynowa O BRACIACH KŁÓTNIKACH I WESOŁEJ BASI. Opowieść dla dzieci. Z 10 ilustracjami Leli Pawlikowskiej. Nakładem Kat. Ośrodka wyd. „Veritas". Londyn (1955). Stron 320, okładka płócienna ze złoceniami, ilustracje dwubarwne.

TADEUSZ GAJCY (1921-44)

NA PROGU

(Z poezji Polski Podziemnej)

Już jutro może nieostygłym
od łuny okiem będę musiał
ogarnąć świat i spojrzeć wprost
na nieba lot i tęczy most; —
już jutro może dym jak widły
zapachnie chlebem, ognia rózga
wysokim kwiatem w ogród spadnie,
a ptak, co w smutku miał mieszkanie
odmiennym szeptem zamknie sen.

I kiedy będę musiał dotknąć
miłosną ręką drzew tych samych
położę na nich gniewną pięść.
A kiedy nad mą samotnością
przyjdzie mi słowa jak kolana
radośnie zginać, sercu ufać
i słuchać echa, w którym głos
jak broń oddzwania, albo kość
warga otworzy się jak lufa.

Jak jabłoń obłok w oknie stanie
i szepnie — śpiewaj, szepnie — wróć.
Niech głos wysmukły drży jak łódź,
bo to odmienne jest kochanie.
Już jutro może kwiaty grube
pochłoną cię i czas zapomni,
gdy nad twą wiosną tęczy supeł
nad spiż wspaniały i nad pomnik.

I w dłoni ciepłej twarz ukryta
zaciąży nagle, kropla ust
jak bym na wardze łunę niósł
zabarwi sen wśród ptasich gitar.
Stwardnieje kora pod dotknięciem
czerwonych palców. Lekka kość
jak dziewann żółtych wonny włos
uśmiechem pozna mnie męczeńskim.

I szepnie — śpiewaj, szepnie — idź.
Nie tobie lekkim słowem kochać
lecz stać nad czasem tym jak krzyż
i znaku czekać znów w obłokach.
Bo jestem tutaj płodnym pyłem
by miłość rosła, kiedy runą,
i trwoga wielka, gdy zabijać
będą wpatrzeni w zbrojne jutro.

F I L M

FESTIWAL FILMOWY W CANNES

Ósmy międzynarodowy festiwal filmowy w Cannes nie przyniósł, jak się zdaje, żadnych rzeczy rewelacyjnych. Ogólna niemal opinia recenzentów i publiczności szła w tym kierunku, że o ile technika trójwymiarowa, w której czołowe miejsce zajmuje teraz „cinemaskop", dobra jest dla filmów z natury i reportażowych, o tyle dla dramatu lepszy jest dawny „płaski" ekran — i dawny również kolor biało-czarny; filmy barwne bardzo często nie wytrzymują próby ekranu.

Festiwal stał się znów miejscem zawodów między produkcją krajów Zachodu, a Rosji Sowieckiej i krajów od niej zależnych. Amerykanie przygotowali się tym razem bardzo starannie i wyszli zwycięsko. Wielką nagrodę festiwalu otrzymał film „Marty"; tematem jego, potraktowanym w sposób sentymentalno-romantyczny, są przygody dwóch samotników z Nowego Jorku, których dręczy poczucie, że są za brzydcy, by mogli być kochani. Jak notuje sprawozdawca „Observera" Lindsay Anderson, jeden z rosyjskich delegatów wyraził się, że temat filmu jest bardzo osobliwy: takie rzeczy jak osamotnienie czy osobiste niepowodzenia nie mają w Rosji żadnego znaczenia. Ale zdaniem Andersona (czy znowu nie za daleko posunięty optymizm?) pojawiają się oznaki, że film sowiecki nieco się pod tym względem „odpręża". Świadczy o tym obraz „Wielka rodzina", charakteryzujący trzy pokolenia rodziny budowniczych statków w jednym z portów ukraińskich. Film utrzymany jest w granicach „socrealizmu", ale porusza także problemy czysto ludzkie i, o dziwo, niektórym nawet nie daje rozwiązania. Nasuwa się pytanie, jak długi żywot będzie miał ten „NEP" w filmie.

Nagrodę za najlepszy film dramatyczny otrzymali również wytwórcy amerykańscy za obraz „East of Eden". Natomiast jako najlepszy film muzyczny nagrodzono sowiecki barwny film baletowy „Romeo i Julia" z muzyką Prokofiewa i popisami tanecznymi Ulanowej. (Balet ten, jak wiadomo, wykonywany był niedawno w Londynie przez zespół opery zagrzebskiej).

Nagrodę za najlepszą reżyserię otrzymali Sergiusz Wasiliew (Z.S.S.R.) którego dziełem w wielkiej mierze jest bułgarski film historyczny „Bohaterowie z Szipki", oraz Jules Dassin (Francja), który reżyserował film kryminalny „Du rififi chez les hommes". Nagrodę za najlepszą męską kreację aktorską dostał Spencer Tracy za amerykański obraz „Bad Day at Black Rock", a za najlepszą kreację kobiecą Haya Hararitt grająca w filmie izraelskim „Wzgórze 24 nie odpowiada".

Międzynarodową nagrodę krytyków otrzymały: film meksykański „Raices" („Korzenie"), obrazujący życie Indian meksykańskich oraz film hiszpański „Śmierć cyklisty".

Mniejsze kraje wykazują dalsze postępy w twórczości filmowej. Pochwały zdobył drugi z kolei film młodego reżysera greckiego Michała Kaksyanisa „Stella", kipiący temperamentem. Także Norwegia i Jugosławia nadesłały dobre filmy.

DYSKUSJA NAD ZASADAMI

CHRZEŚCIJAŃSKIMI W TELEWIZJI

Połączone komisje dla spraw telewizji, katolicka i protestancka opracowały wspólnie „zasady programowe niemieckiej telewizji", które następnie przedłożyły władzom kierowniczym telewizji.

Zasady te opierają się na wolnościach zagwarantowanych przez konstytucję Zachodniej Republiki Związkowej i na prawie radiowym obowiązującym w poszczególnych krajach związkowych. Wysuwają one na pierwszy plan zawarte w tych prawach gwarancje poszanowania godności ludzkiej, porządku prawnego i społecznego, praw moralnych oraz uczuć religijnych we wszelkich przejawach życia kulturalnego, politycznego i społecznego, i zakładają, iż te gwarancje i zasady obowiązują również w zakresie telewizji.

Warto zapoznać się z tymi wskazaniami.

„CZŁOWIEK — Telewizja jest w zasadzie dla wszystkich, a to oznacza, że musi ona zaspokajać różnorakie wymagania. Obok jej roli w komunikowaniu aktualności i obok zadań oświatowych, trzeba poświęcić szczególną uwagę jej roli jako rozrywki. Nie powinny jej programy mieć tendencyj estetyzujących i snobistycznych, jak to wysuwają niektórzy ludzie stojący na uboczu od społeczeństwa i nie liczący się zupełnie z wymaganiami ogółu. Tym bardziej program nie powinien mieć charakteru takich atrakcyj, których działanie polega na zaspakajaniu drażliwych wymagań, nie dających się pogodzić z ludzką godnością.

„ŁAD SPOŁECZNY — Telewizja, dzięki swemu działaniu, daje jedyną w swoim rodzaju możliwość rzucania pomostów między ludźmi rozmaitych klas, stanów, narodów, kultur i ras. Krytyka i satyra należą do wolności demokratycznych, ale trzeba unikać w programach telewizyjnych nieodpowiedzialnego i rozkładowo działającego podawania w pogardę, które się zwraca przeciw zasadom ładu w państwie i porządku prawnego.

„PORZĄDEK MORALNY — Moralny porządek obejmuje wszystkie stosunki między ludźmi. W tym względzie telewizja ma zadanie wspierania wszystkich dążeń, które głoszą wzajemne porozumienie, ducha współdziałania, tolerancję i poszanowanie życia. Wszelkie pokazywanie scen i działań, mogących mieć na widzów, zwłaszcza zaś młodych, wpływ brutalizujący i podżegający nie może mieć miejsca w programach telewizyjnych.

„Przede wszystkim zaś nie można przeoczać faktu, iż dziś szczególnie zagrożony jest porządek życia seksualnego. Dlatego nie nadają się do telewizji tematy lub szczegóły o charakterze nieobyczajnym, czy to w samym obrazie, czy też w działaniu. Tu należą przede wszystkim te procesy z zakresu życia płciowego, które obrażają uczucie naturalnego wstydu. To samo dotyczy przedstawiania tematów, w których czy to przez rodzaj ubrania czy też przez akcję wyraża się aluzje do nieobyczajnego życia płciowego.

„Małżeństwo nie powinno być poniżane w swej godności ani też ośmieszane.

„Wszelkie pokazywanie scen kryminalnych lub też scen z życia przestępców nie jest stosowne, zwłaszcza jeżeli mogą one służyć jako zły przykład, lub też mogą ujemnie wpływać na sposób odczuwania i myślenia, zachęcać do naśladowania albo wprost pouczać jak przeprowadzać czyny sądownie karalne.

„OCHRONA UCZUĆ RELIGIJNYCH — Telewizja nie powinna nadawać programów, które by mogły naruszyć pokój religijny. Nazywanie i przedstawianie Boga oraz formy czci religijnej i symbole kościelne wymagają, aby je przedstawiano w sposób połączony z poczuciem odpowiedzialności. Bluźnierstwa, podawanie w pogardę i poniżanie godności wiary, które by narażały na szwank religijne uczucia, nie mogą mieć miejsca.

„RODZINA — Programy telewizyjne winny odpowiadać pozytywnemu nastawieniu wobec instytucji rodziny. Prawidłowy stosunek między rodzicami i dziećmi oraz wzmocnienie poczucia odpowiedzialności w związku małżeńskim i przy zakładaniu rodziny powinny być szczególną troską otoczone przez niemiecką telewizję. Programy jej winny się starać o popieranie zadań kulturalnych rodziny oraz jej niezależności materialnej."

Jak widzimy zatem, ramy tych wskazań są bardzo szerokie, ale w zakresie dobrej woli ich wykonawców dają już możność unikania takich potknięć się, jakie ostatnio mieliśmy możność obserwować w telewizji brytyjskiej, gdzie na Wielkanoc dano sztukę teatralną obrażającą uczucia religijne katolików oraz film o Lutrze co najmniej bardzo kontrowersyjny i nawet historycznie niezgodny z prawdą.

J. Cz.

PIELGRZYMKI do LOURDES i FATIMY

PRZYSPIESZENIE TERMINÓW ZGŁOSZEŃ

Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii podaje do wiadomości, że wobec dłuższych formalności związanych z tańszymi wizami dla pielgrzymów, wyjeżdżających dnia 12 sierpnia br. z Londynu do LOURDES i do FATIMY, ostateczny termin przyjmowania zgłoszeń na udział w tych pielgrzymkach zostaje przyśpieszony.

Zgłoszenia na udział w pielgrzymce według:

Programu „A" (tylko do LOURDES — 6 dni i na życzenie zatrzymanie 2 dni w Paryżu) — przyjmowane będą tylko do dnia 23 lipca br.,

Programu „B" (do LOURDES i do FATIMY — 12 dni i na życzenie zatrzymanie 2 dni w Paryżu) — przyjmowane będą tylko do dnia 9 lipca br.

Po upływie tych terminów Instytut nie bierze odpowiedzialności za uzyskanie wiz i zapewnienie dobrych warunków mieszkaniowych, które już ma uzyskane dla wszystkich licznie zgłaszających się w tym roku uczestników.

Dla ułatwienia nam pracy organizacyjnej prosimy wszystkich, którzy w tym roku trzechsetnej rocznicy obrony Częstochowy zamierzają wziąć udział w zbiorowym polskim hołdzie Maryjnym w Lourdes, aby zechcieli jak najwcześniej przesłać swoje zgłoszenie do:

Instytut Polski Akcji Katolickiej
w Wielkiej Brytanii,
Kierownictwo Pielgrzymek
51, Eaton Place, London, S. W. 1.

DROGI WSPÓŁCZESNYCH NAWRÓCEŃ (II)

U W I E R Z Y Ł E M *)

Niemało wybitnych jednostek odnajdujemy na drogach współczesnych nawróceń. Ludzi nauki i poetów, dziennikarzy i literatów, działaczy społecznych i polityków. Oto wypadek nawrócenia, który był dotkliwym ciosem dla partii komunistycznej w Anglii wywołując rozliczne komentarze w prasie światowej.

Douglas Hyde był jeszcze kilka lat temu nieprzejednanym ateistą, jednym z przywódców partii komunistycznej w Anglii, założycielem i redaktorem pisma komunistycznego „Daily Worker". Dzisiaj jest znanym i cenionym pisarzem katolickim, ma swoją stałą kolumnę w „Catholic Herald", poruszając w niej najistotniejsze zagadnienia chwili. Jakże się to stało, że przejrzał, że się wiwikłał z sieci prawd pozornych, że odnalazł Boga na swojej drodze?

Pochodzący z rodziny anglikańskiej Douglas Hyde marzył w latach chłopięcych o tym, by zostać kaznodzieją i misjonarzem. Idąc za głosem tych swoich marzeń już w wieku lat siedemnastu zaczął studiować teologię u metodystów. Którejś niedzieli, w czasie popołudniowego spaceru, trafił na tłum słuchający w skupieniu jakiegoś mówcy, który proklamował pomoc dla ofiar wojennych i wzywał do zemsty z powodu wykonanej egzekucji w Ameryce na jakichś dwóch anarchistach włoskich. Młody Hyde przejęty do głębi tym co usłyszał postanowił zbliżyć się do grupy ludzi reprezentowanych przez owego mówcę. Jeszcze tego samego wieczoru został członkiem „Ruchu Międzynarodowego Pomocy Więźniom Wojennym", przyczajonej grupy komunistycznej, która obawiała się ukazania prawdziwego oblicza.

Mimo swego członkowstwa w partii Hyde nie od razu zerwał z teologią, przeciwnie w miarę wzrastania wątpliwości wierzył, że może znajdzie drogę właściwą w połączeniu doktryny chrześcijańskiej z komunizmem. Lecz wrodzona prawość nie pozwoliła mu służyć dwom panom. Wybrał partię i pogrążył się w ateizmie i nihilizmie moralnym. Stał się bojowym komunistą, który miał straszliwe kłopoty z otrzymaniem pracy, z policją, z prawem.

Mimo entuzjazmu dla walki z kapitalizmem, nigdy nie zatracił umiejętności bystrej obserwacji ani zmysłu krytyki. Wielokrotnie odczuwał fałsz głoszonych sloganów. Zdawał sobie sprawę, że treść w nie wkładana różnie bywa interpretowana, w zależności od potrzeby chwili.

W czasie wojny domowej w Hiszpanii Hyde organizuje zebrania i głosi hasła powszechnej rewolucji zdobywając mnóstwo ochotników dla brygady międzynarodowej. Partia wysyłała chętnych, głównie dla przeszkolenia rekruta. Lecz szybko zorientowano się, że w ten sposób tracono mnóstwo ludzkiego materiału, który ginął bezpowrotnie. Wobec tego zaprzestano wysyłać do brygady komunistów, a starano się rekrutować osoby, nie należące do partii.

Rok 1939. Druga wojna światowa otwierała nowe pole działania dla komunizmu.

„Zmieńmy każdą fabrykę w twierdzę komunizmu" — staje się sloganem chwili.

W grudniu 1939 roku Hyde z ramienia partii przekształca tygodnik komunistyczny na dziennik i w styczniu 1940 roku, mając trzydzieści trzy lata, zaczyna redagowanie dziennika „The Daily Worker".

W tym okresie czasu mnóstwo ludzi zostaje powołanych do wojska. Hyde, ku swemu zdumieniu otrzymuje zwolnienie od służby wojennej, czym jeszcze jeden zdobywa dowód przemożnych wpływów partii nawet na administrację kraju.

Poznanie Karoli, młodej komunistki, która weszła do partii w okresie wojny hiszpańskiej, sprawia, że Hyde zdaje sobie sprawę, że życie jedynie dla partii nie wystarcza człowiekowi i że człowiek mimo woli dąży do tego burżuazyjnego szczęścia, jakim jest założenie wspólnego ogniska.

Kampania antywojenna „The Daily Worker'a" niepokoiła opinię publiczną i spowodowała, że najwyższe czynniki nakazały zamknięcie pisma. Komuniści jednak nie dali za wygraną i drukowali potajemnie biuletyn, który rozchodził się w olbrzymim nakładzie pod samym nosem policji.

Wojna przynosi z sobą coraz to nowe niespodzianki: Niemcy napadają na Rosję i wojna „niesprawiedliwa" zamienia się w sloganach na wojnę „świętą".

Ten nieoczekiwany sojusz aliancko-sowiecki, gdy stał się faktem dokonanym, był całkowitym zaskoczeniem dla członków partii. Próżno dzienniki komunistyczne nazywały go zwycięstwem partii. Wielu jej członków uważało go jednak za zdradę ideałów i wystąpiło z ruchu.

Łatwiej było zachować pozory we wrześniu 1939 roku, gdy Sowiety z Hitlerem napadły Polskę, lecz tym razem sojusz aliancko-rosyjski był po prostu niemożliwy do wytłumaczenia masom.

W tym okresie czasu nawet prawicowe pisma nie występowały przeciw Rosji. Tymczasem „The Weekly Review", pismo katolickie, przestrzegało przed zbytnim optymizmem. Hyde, chcąc poznać nieprzyjaciela, zaczął czytywać prasę katolicką i spotkał się z artykułami Chestertona i Belloca. O ile ich polityczne wypowiedzi niezmiernie go irytowały, zaczęły go pociągać artykuły o treści kulturalnej, artystycznej i socjalnej.

Stwierdził z całym zdumieniem, że dolą mas interesuje się nie tylko partia, ale i Kościół katolicki także.

Zapoznał się z encyklikami papieskimi: „Rerum novarum" i „Quadragesimo anno". Rozwiązanie niesprawiedliwości socjalnej w drodze miłości, a nie nienawiści, stało się dla Hyde'a zdumiewającym objawieniem. Dzieła Chestertona w oparciu o encykliki otwierają przed nim nowe horyzonty. Jednocześnie budzi się w nim tęsknota za Bogiem.

Douglas Hyde jest teraz jakby rozdwojony: i posłuszny nakazom partii i ostrożny, nieufny, krytyczny do jej dyspozycyj. Ta walka wewnętrzna sprawia, że mimo zmęczenia dostrzega coraz wyraźniej, że na błędnej jest drodze, że musi iść na spotkanie Prawdy Rzeczywistej. Marzy o tym, by żona jego przeszła to samo przeobrażenie wewnętrzne i delikatnie podsuwa jej do czytania dzieła i prasę katolicką.

Okazuje się szczęśliwie dla niego, że i ona innymi wprawdzie drogami, ale doszła już do punktu zwrotnego i ma dosyć partii i jej nakazów.

Pod koniec wojny zaniepokoiła Hyde'a polityka zagraniczna Rosji oraz wypadki w Europie Środkowej, a przede wszystkim to, co działo się w owym czasie w Czechosłowacji i doszedł do wniosku, że wkrótce to samo może mieć miejsce we Włoszech, Francji, a nawet w Anglii.

Poza tym był przekonany, że dyspozycje Kremla w stosunku do produkcji angielskiej mogą sprowadzić straszliwe zubożenie robotników angielskich.

Partia, która miała monopol na uszczęśliwienie mas robotniczych i dla której ideałów poświęcił całe życie, chce zniszczyć wolność robotnika i pogrążyć go w nędzy.

Wszystko to razem wpłynęło na zrozumienie, że komunizm nie zdoła odbudować świata według ideałów, które głosi.

We wrześniu 1946 roku w Jugosławii aresztowano arcybiskupa Stepinacza i nastąpiły tam straszliwe prześladowania religijne. Pogląd na te wypadki różnił całkowicie Hyde'a od jego kolegów partyjnych. Wszyscy zdawali sobie sprawę z niewinności uwięzionego, lecz cieszyli się porażką Księcia Kościoła.

Wtedy Hyde, po dłuższych wahaniach, doszedł do wniosku, że tylko Kościół katolicki, który jest oparty na trwałych podstawach moralnych i że tylko miłosierdzie chrześcijańskie mogą rozwiązać obecne zagadnienia socjalne, polityczne i duchowe ludzkości.

Po przestudiowaniu doktryny katolickiej dojrzał do przyjęcia zasad wiary katolickiej.

Hyde nigdy przedtem nie pozwolił sobie na przekroczenie progu świątyni katolickiej, czasami tylko wpadał do jakiegoś kościoła, aby w przedsionku zapoznać się z wydawnictwami katolickimi i tak poznał biografię Tomasza Moore. Raz tylko postanowił wejść i zapalił świecę przed ołtarzem Najświętszej Panny, lecz i wtedy nie umiał znaleźć słów modlitwy...

Wkrótce potem udał się do jezuitów z prośbą o naukę katechizmu i o chrzest, który otrzymał wraz z żoną z rąk ojca Corr, a w styczniu 1948 roku ochrzcił swoje dzieci.

14 marca 1948 roku zerwał ostatecznie z partią. W końcu roku 1950 ogłosił pracę pt. „I believed" — historię swego nawrócenia, której nakład pierwszy i drugi rozkupiono natychmiast.

Konkluzja ostateczna walki wewnętrznej Hyde'a zamyka się w przekonaniu, że dwie doktryny całkowicie różne: komunizm i katolicyzm, nie mogą ze sobą współistnieć, że hasło KOEGZYSTENCJI, tak dzisiaj modne, dla katolika jest niemożliwe do przyjęcia.

H. Ż.

*) Douglas Hyde: „I believed", Heinemann Ltd., London 1951.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 29 maja 1955.

SPRAWA, KTÓREJ NIE MOŻNA ODKŁADAĆ

J. E. Ksiądz Arcybiskup Józef Gawlina podjął starania o doprowadzenie do procesu beatyfikacyjnego zmarłego przed dwudziestu laty czczonego powszechnie biskupa pińskiej diecezji Księdza ZYGMUNTA ŁOZIŃSKIEGO, nad którego trumną chyliły się z wielką czcią głowy nie tylko katolików, ale i ludzi wszelkich wyznań, chrześcijan i żydów, wierzących i niewierzących.

J. E. Ksiądz Arcybiskup Gawlina apeluje do wszystkich tych, którzy mieli szczęście zetknąć się z biskupem ŁOZIŃSKIM, aby zechcieli dać świadectwo prawdzie o niezwykłej świątobliwości jego żywota, aby pospieszyli z jak najliczniejszymi przykładami potwierdzającymi jak żywą była wiara jego, jak wielką dobroć i miłosierdzie, jak prosty i pełen miłości stosunek do ludzi.

Ponieważ w miarę upływu lat zmniejsza się liczba osób znających biskupa ŁOZIŃSKIEGO, nie można dłużej odwlekać sprawy starań o wyniesienie na ołtarze tego dobrego Pasterza, którego już za życia nazywano świętym. Wymaga to jednak moralnego a także i materialnego poparcia ze strony społeczności polskiej.

O jedno i o drugie prosi Ksiądz Arcybiskup Gawlina.

Nawet skromne ofiary mogą się przyczynić wydatnie do pokrycia niezbędnych kosztów prawno-kościelnego procesu.

Listy w tej sprawie należy kierować na ręce wyznaczonego postulatora ks. dra Piotra Naruszewicza (ROMA, via Machiavelli, 18).

NASZE SPRAWY

KATOLICKI POGLĄD NA WYDARZENIA MIĘDZYNARODOWE

Nie ma dziś już dawnej społeczności narodów chrześcijańskich czy katolickich tej, która w średniowieczu organizowała krucjaty i która nawet jeszcze w wieku XVII oceniała potępiająco współpracę Francji z Turcją z jednej strony a z obozem protestanckim z drugiej. Rządy i państwa, poza paroma tylko wyjątkami, są dziś w całym świecie laickie, przeważnie antykatolickie, często, nawet w krajach, w których większość ludności jest chrześcijańska, antychrześcijańskie. W tych warunkach nawet narody katolickie nie mogą dziś prowadzić polityki czysto katolickiej, zmuszone są do paktów i kompromisów z państwami antykatolickimi — i nie ma na to rady.

Nie ma dziś pełnej „polityki ideologicznej" w świecie. Motywy czysto polityczne decydują dziś w polityce — i każdy naród ma prawo się dziś względami wyłącznie politycznymi w swej polityce kierować. Nie ma dziś krucjat — a więc nikt nie ma obowiązku zajmować takiej politycznej postawy, jaka byłaby obowiązkiem w epoce krucjat.

Ale co innego praktyczna polityka, a co innego sympatia, zrozumienie, modlitwa, a nawet realna pomoc w dziedzinach innych, niż polityczne działanie.

Niestety, nawet i pod tym względem świat chrześcijański, a nawet świat katolicki przestał być solidarną jednością.

Iluż jest katolików w świecie, dla których dzisiejszy los katolickiej Polski jest najdosłowniej obojętny! Którzy nigdy nawet przez mgnienie oka nie pobiegną ku Polsce ani modlitwą, ani myślą, w której dźwięczałaby troska, sympatia, uczucie solidarności!

Wiemy o tym — i budzi to w nas słuszne oburzenie.

Ale czy sami jesteśmy w podobnych sytuacjach bez winy?

Przypomnijmy sobie, jak niejednolite było temu lat dziewiętnaście, osiemnaście, siedemnaście ustosunkowanie polskiej opinii publicznej, nawet opinii katolików, do wydarzeń w Hiszpanii!

Wielki, wspaniały, katolicki naród chwycił za broń w obronie swej katolickiej duszy i katolickich podstaw swego życia. W kraju tym wybuchła rewolucja, kierowana w pierwszej fazie przez masonów, a drugiej przez komunistów. Setkami płonęły w Hiszpanii kościoły; tysiącami rozstrzeliwani byli księża i zakonnice. Wydawałoby się, że nie może być wątpliwości, po czyjej stronie być powinny sympatie polskich katolików. Nikt od Polski nie mógł żądać krucjaty, żądać czynnej pomocy, ale chyba miała Hiszpania prawo żądać od nas, byśmy sympatiami jednolicie stali po stronie obrońców Alkazaru, a przeciwko agentom Stalina! A jednak — ileż pod tym względem było w Polsce, nawet w opinii katolickiej, mędrkowania, rozcinania włosa wzdłuż na cztery ćwiartki i takiego żonglowania rzeczą nieskomplikowaną, jasną i prostą, że rzeczywistość odwracała się do góry nogami. To prawda, że przytłaczająca większość opinii polskiej miała postawę jasną i logiczną, a zarazem gorącą. Ale iluż było elokwentnych oponentów przeciwko stanowisku tej opinii!

Nawiasem mówiąc, nawet w dziedzinie praktycznej rewolucja hiszpańska nie była rzeczą tak bardzo nam obcą, jakby się mogło wydawać z pozoru. Cała wschodnia połowa Europy jest dziś rządzona przez dawnych uczestników brygad międzynarodowych z Hiszpanii. Partyzantka Tity w Jugosławii — to przecież dalszy ciąg wojny domowej hiszpańskiej! Wystarczy zobaczyć grany niedawno w Londynie austriacko-jugosłowiański film „Ostatni most", by zdać sobie sprawę, jak dalece atmosfera, ludzie, cały styl i zapach zjawiska jest kontynuacją rzeczy opisanych przez Hemmingwaya i odtworzonych w opartym na jego powieści filmie „Dla kogo dzwony biją". Na mniejszą skalę, to samo da się powiedzieć i o innych krajach satelickich, także i o Polsce. Rządzą dziś Polską nie tylko wynarodowieni pół-Rosjanie, biurokraci sowieccy à la Rokossowski. I nie tylko Żydzi. Jeśli jest dziś w Polsce choć trochę żywego, rdzennie polskiego impetu akcji komunistycznej — to ma on swoje źródło w brygadach komunistycznych z Hiszpanii.

Tyle o Hiszpanii. Ale zmierzam do czego innego. Zmierzam do innej sprawy katolickiej, dzisiejszej, że nie wątpię, iż znaczonej świeżym rozlewem krwi także i w chwili, gdy to piszę.

Mówię o sprawie Indochin.

Z jakąż doskonałą obojętnością, z jakimż brakiem zrozumienia i sympatii odnosi się opinia europejska, a wraz z nią i opinia polskiej emigracji do tej tragicznej i bohaterskiej, a tak podziwu godnej sprawy!

Przypatrzmy się faktom.

Indochiny posiadają poważną mniejszość katolicką. Poza Filipinami są one największą twierdzą katolicyzmu na całym Dalekim Wschodzie. Na północy Indochin, wokół Hanoi i Haiphong istnieją rozległe obszary wiejskie, czysto katolickie.

Katolicyzm ich nie jest świeżej daty i nie jest pochodzenia kolonialnego. Początki jego datują się z XVI wieku i zostały zbudowane przez dominikanów hiszpańskich. Później przyszła tam działalność misyjna zakonów francuskich. W dziewiętnastym wieku, w okresie prześladowań chrześcijaństwa i wypędzania białych misjonarzy z Indochin, ustanowiony tam został episkopat tubylczy, z tubylczymi seminariami duchownymi i tubylczym duchowieństwem. Dopiero po tym wszystkim przyszła do Indochin ekspansja kolonialna francuska.

Najbardziej katolickie obszary Indochin (Vietnam) podbite zostały przez komunistów. Katolicy indochińscy stawiali najazdowi hord komunistycznych zacięty opór, we wsiach katolickich nawet dwunastoletnie dziewczynki i siedemdziesięcioletni starcy stanęli w szeregach zbrojnych, katolickich milicji.

Na klęskę wojenną Francuzów w wojnie z komunistycznym Wietminem i na zawartą przez Mendes-France w Genewie umowę kapitulacyjną katolicy w północnym Wietnamie odpowiedzieli decyzją masowej emigracji do Wietnamu Południowego. 1.100.000 katolików zgłosiło się na wyjazd. Z nich 8.000 mogło wyjechać legalnie, a 700.000 jak dotąd zdołało wyjechać nielegalnie, przy czym wielu z nich przy masowym przebijaniu się zginęło, a wielu zostało wymordowanych. Właśnie dzisiaj czytam w prasie angielskiej, że na trzech odcinkach wybrzeża w najbardziej katolickich okręgach flota amerykańska przyjmuje na pokład grupy katolickich uchodźców przebijających się ku wybrzeżu i że istnieje nadzieja, iż dalszych kilkaset tysięcy ludzi zostanie uratowanych. Cały południowy Wietnam zasypany jest obozami uchodźców, biwakujących pod wodzą swoich księży z wzniesionymi nad każdym barakiem krzyżami.

Jest rzeczą widoczną, że katolicy wietnamscy postanowili zbudować sobie nowe życie w skurczonym prawie do połowy kraju. Postanowili nie dać się zmiażdżyć — obronić się i żyć.

Południowy Wietnam ma 9 milionów ludności. Katolicy są w nim więc mniejszością (jest ich 2 miliony w całym Wietnamie), ale mniejszością żywotną, zdolną stać się rdzeniem woli oporu. Katolickie pułki chcą i potrafią się bić. Katoliccy urzędnicy nie paktują z nieprzyjacielem, nie biorą łapówek, ale administrują i rządzą.

Przywódcą katolików wietnamskich jest najwybitniejszy indochiński polityk, p. Ngo Dinh Diem. Jest to mandaryn ze starej dygnitarskiej rodziny, podobnie mającej tysiącletnią tradycję. Rodzina ta jest katolicka od lat trzystu, to znaczy, dla porównania, tylko od czasu o połowę krótszego, niż polskie rody pochodzenia litewskiego. P. Diem jest gorącym katolikiem; myślał o powołaniu zakonnym i czas pewien przebywał w Europie w klasztorze. Nawet najwięksi jego wrogowie nie negują nieskazitelności jego zalet ideowych i moralnych i charakteru.

Rzeczoznawcy amerykańscy, troszczący się o zorganizowanie bariery przeciwko postępom komunizmu, ocenili, że jest to jedyny człowiek w Wietnamie, zdolny opanować sytuację. Pod ich naciskiem, ale zgoła bez zapału, Bao Dai, cesarz Wietnamu, na modłę Faruka rezydujący na Riwierze Francuskiej mianował go premierem. Ale rząd francuski był i jest niezadowolony, gdyż p. Diem jest nacjonalistą wietnamskim i przeciwnikiem masońskiej czwartej rzeczypospolitej. Rząd francuski uzbroił przeciwko niemu kilka „armii prywatnych", na których czele stali częściowo dawni wietnamscy piraci i gangsterzy, a częściowo przywódcy t.zw. „sekt", organizacji neo-buddyjskich, zreformowanych na modłę europejskiej teozofii, przesyconych wpływem zarówno masońskim, jak komunistycznym. Armie te wszczęły przeciwko rządowi p. Diema regularną wojnę domową. Pan Diem odpowiedział na to operacjami wojennymi w wielkim stylu, bijąc „armie prywatne", mimo, że korzystały one z osłony wojsk francuskich. Wtedy cesarz Bao Dai, pod wpływem francuskim, udzielił mu telegraficznie dymisji.

P. Diem nie zamierza jednak dać sobie wyrwać władzy z rąk. Wespół z innymi siłami antykomunistycznymi utworzył komitet rewolucyjny i proklamował republikę. A potem dokończył dzieła rozgromienia armii prywatnych. Panuje dziś nad sytuacją.

Polityka Francji jest jasna. Chce ona zgody z komunistycznym Wietnamem, bo spodziewa się uratować tą drogą swoje interesy gospodarcze w obu połowach Indochin. Polityka p. Diema także jest jasna. Uważa on, że północ jest stracona, ale za to chce uratować południe, uratować bez żadnych paktów, jedyną metodą skuteczną, mianowicie stanowczym i bohaterskim oporem.

Po czyjej stronie winny być sympatie świata katolickiego i nas, polskiej emigracji? Chyba po stronie tej żywotnej, katolickiej siły azjatyckiej, która się broni przed komunistycznym zalewem?

Czytajmy naszą prasę! Wygląda tak, jakbyśmy łamali ręce nad piorunującymi operacjami p. Diema — i życzyli mu, by jak najprędzej skręcił kark.

POLONUS

PIELGRZYMKA KU CZCI M. BOŻEJ

do kolegium księży Marianów

W porozumieniu z polskimi Władzami Kościelnymi w Londynie, odbędzie się w niedzielę 5 czerwca, podobnie jak w roku ubiegłym, pielgrzymka ku czci Matki Bożej do Kolegium Księży Marianów w Fawley Court koło Henley-on-Thames, Oxfordshire.

Celem pielgrzymki jest oddanie czci Maryi jako KRÓLOWEJ ŚWIATA, a z racji 300-lecia obrony Jasnej Góry oddanie hołdu Maryi jako Królowej Korony Polskiej. Prośba przewodnia pielgrzymki, to przywrócenie wolności opartej na prawie Chrystusowym i wytrwanie w wierze ojców młodzieży naszej.

Szczegółowe programy, z tekstami pieśni w czasie nabożeństwa i procesji, zostaną rozesłane w najbliższych tygodniach.

Dojazd do Fawley Court — od strony Londynu odbywa się do Henley-on-Thames. Pociąg odchodzi z Paddington Station o godz. 10.05 rano.

Dojazd autobusami — od strony High Wycombe, Oxfordu i Readingu trzeba ustalić na godzinę 12.00.

O godz. 12.30 odbędzie się Msza św. na terenie Zakładu, w razie deszczu — w wielkim namiocie.

Prosimy uczestników o odbycie spowiedzi we własnym ośrodku parafialnym. Radzimy na wypadek niepogody zabrać parasole i płaszcze nieprzemakalne.

Ciepły i zimny bufet na miejscu.

Ave Maria.

X. X. Marianie

ROZMAITOŚCI

PRZEDWCZESNE PORZUCANIE NAUKI

Jednym z niepokojących objawów zanotowanych ostatnio przez Radę Naukową w Anglii (Central Advisory Council for Education in England) jest przedwczesne porzucanie ław szkolnych przez niemałą ilość, bo ponad 10.000 młodzieży obu płci w okresie rocznym. Liczba ta dotyczy terenu całej Anglii. Mowa tu o młodzieży, która ma dosyć nauki już w szesnastym roku życia, chociaż zgodnie z przepisami szkolnymi w Anglii powinna się uczyć do osiemnastu przynajmniej lat. Zjawisko opuszczania przedwcześnie szkoły można obliczyć w stosunku trojga dzieci za wcześnie biorących rozbrat z nauką na ośmioro ogólnej liczby uczęszczających do szkół. Jest ono tym bardziej niepokojące, że w związku z tak wielkim postępem techniki istnieje duże zapotrzebowanie na ludzi o wyższych kwalifikacjach naukowych, przemysł odczuwa brak fachowców w dziedzinie matematyki, fizyki i chemii.

Stan ten łatwiej można by zmienić na lepsze, gdyby rodzice pojęli w stopniu dostatecznym znaczenie dłuższego kształcenia. Potrzebne jest też rozszerzenie kadr nauczycielskich, aby zagadnieniu temu sprostać. Problem przedwczesnego opuszczania szkół wiele ma aspektów, ale przede wszystkim socjologiczny i polityczny.

„CUDA" LOTNICZE KOSZTUJĄ ZBYT WIELE

Samoloty zwiększają bezustannie swe rozmiary. Wyścig zbrojeniowy między Zachodem a Wschodem jest głównym tego powodem. Większy bowiem samolot może dalej dolecieć, jego zasięg rośnie. Ale jakim kosztem odbywa się ten wzrost?

Otrzymujemy na to pytanie odpowiedź od inżynierów amerykańskich. Wszystkie nieomal czynności w samolocie nowoczesnym spełniają samoczynne automaty. Pilot schodzi na coraz dalszy plan. Małe, czarne skrzyneczki rozmieszczone w samolocie widzą za pilota, mierzą za niego wysokość i chronią samolot przed rozbiciem, np. w czasie mgły itp. Wprowadzenie jednak każdego nowego udoskonalenia, a od udoskonaleń aż się roi, pociąga za sobą konieczność powiększenia maszyny. Można przyjąć, że powiększenie o wagę jednego funta ciężaru w samolocie powoduje konieczność rozbudowy samego samolotu o dziesięć funtów, aby samolot mógł unieść ten dodatkowy ciężar.

Dla przykładu wyobraźmy sobie, że postanowiono dodać w samolocie poduszkę na siedzenie przeznaczone dla pilota i że poduszka waży 1 funta, a wartość jej wynosi 7 szylingów. Ten drobny szczegół dodatkowy pociąga za sobą nieproporcjonalnie wielkie koszty. Ciężar maszyny trzeba zwiększyć o 10 funtów, co licząc na pieniądze wyniesie po £ 15 — od zwiększonej wagi o 1 funta, czyli £ 150 od wagi funtów 10.

Koszty lotnictwa rosną w sposób oszałamiający i stają się coraz dotkliwszym obciążeniem dla wszystkich państw, specjalnie jednak dla Stanów Zjednoczonych Ameryki, które coraz większe budują samoloty, licząc się z odległością dzielącą je od granic ZSSR.

Z PROBLEMÓW ARCHEOLOGII

NAJSTARSZE MIASTO ŚWIATA

P. Kathleen M. Kenyon, dyrektorka Brytyjskiej Szkoły Archeologii w Jerozalimie, ogłosiła w „Sunday Times" cykl artykułów o nowych wykopaliskach w Jerychu, które zdaniem jej i wielu innych archeologów jest najstarszym miastem świata. Co prawda centrum nowoczesnego Jerycha położone jest o milę angielską mniej więcej na wschód od Jerycha historycznego, ale podobnie jak ono związane jest ze źródłem Jordanu. Źródło to dostarcza poprzez kanały irygacyjne wody dla pól zbożowych, gajów bananowych i palm, otaczających Jerycho nowoczesne.

Nazwa Jerycha nasuwa na myśl biblijne trąby Jozuego, których dźwięk spowodował zawalenie się murów miasta. Wydarzenie to nastąpiło jednak w dziejach miasta stosunkowo późno, gdzieś między rokiem 1400 a 1250 przed Chr., jest więc — jak wykazały wykopaliska — przeprowadzone łącznie przez Brytyjską Szkołę Archeologii oraz Amerykańską Szkołę Badań Orientalnych w Jerozolimie — bliższe naszym czasom, niż dacie powstania pierwszego na tym miejscu osiedla ludzkiego. Wynika z nich, że około r. 1600 przed Chr. miasto Jerycho stało na wzgórzu wysokości 70 stóp ponad powierzchnię otaczającej je równiny i że to wzgórze składa się wewnątrz z nawarstwień domów, budowanych przez pokolenia jeszcze dawniejsze.

Z Jerycha czasów Jozuego nie pozostało prawie nic. Jest to wynikiem faktu, że obok powiększania się wysokości wzgórza wskutek budownictwa ludzkiego zachodził także niekiedy proces odwrotny, mianowicie zmywanie szczytu wzgórza przez wpływy atmosferyczne. Z relacji biblijnych wiemy, że po czasach Jozuego miejsce, na którym stało współczesne mu miasto, było opustoszałe przez pięć prawie stuleci, a wykopaliska wykazały, że właśnie w tym czasie w toku był proces denudacji przez działania natury.

Jak dotąd odkryto tylko bardzo niewielką przestrzeń, liczącą nie więcej niż metr kwadratowy, na której zachowała się powierzchnia miasta z XIV wieku przed Chrystusem. Za to zachowały się, często w dość dobrym stanie, warstwy dawniejsze. Już poprzednie wykopaliska, prowadzone przez prof. Garstanga, wykazały, że pod pokładami, stanowiącymi resztki miast z wczesnej i średniej epoki brązowej, znajdują się reszki osiedli z okresów dużo jeszcze starszych, osiedli neolitycznych. W okresie neolitycznym człowiek po raz pierwszy począł dostosowywać się do życia osiadłego, którego warunkiem była uprawa roli i hodowla zwierząt. Wprawdzie warunki naturalne w Jerychu sprzyjały temu, niemniej archeologowie zaskoczeni byli faktem, że te najstarsze osiedla obejmowały przestrzeń około ośmiu akrów, a więc stosunkowo bardzo znaczną, i to w czasie, kiedy nie istniało jeszcze garncarstwo.

Trudno oczywiście o ustalenie dokładnych dat, ale garncarstwo, jak się zdaje, pojawia się w Jerychu, podobnie jak gdzie indziej na Bliskim Wschodzie, w piątym tysiącleciu przed Chr. — i wobec tego można wyrazić przypuszczenie, że początki Jerycha sięgają roku 6.000 przed Chr. Archeologowie prowadzący wykopaliska nie dotarli jeszcze do pokładów najstarszych, ale już z tego, co odkopali i zbadali, wynika, że w tych zamierzchłych czasach poziom rozwoju osiedli był zdumiewająco wysoki. W czasie kopań przeprowadzonych w r. 1954, odkryto naprawdę masywne mury miejskie, najwcześniejsze z trzech kolejnych. Dopiero jednak w roku bieżącym ustalono rozmiary neolitycznego Jerycha i okazało się, że było ono nawet nieco większe, niż późniejsze miasto z epoki brązowej. Nie wystarczała zresztą budowa murów, konieczny był, podobnie jak w dzisiejszym Jerychu, system irygacyjny, który musiał istnieć już w okresie neolitycznym, inaczej nie mogłoby się wyżywić tych 2 — 3.000 osób, które przypuszczalnie to najstarsze osiedle zamieszkiwały.

W epoce brązowej szczególną uwagę zwraca stała troska o obronę miasta. Wykopaliska wykryły, że między rokiem 2900 a 2100 przed Chr. mury miejskie naprawiane były co najmniej 17 razy. Po r. 2100 przez dwieście lat trwa w Palestynie przerwa w dotychczasowym rozwoju — miasto ulega wielkiemu zniszczeniu i staje się raczej obozowiskiem najezdniczych nomadów ze wschodu.

P. Kenyon opisuje szczegółowo sposób chowania zmarłych w różnych okresach istnienia Jerycha i stwierdza, że niestety, by dostać się do głębszych pokładów, trzeba za każdym razem niszczyć domy późniejsze, wobec tego, że z reguły każdy dom budowany był na ruinach domu starszego.

Badania są w toku. Dodać warto, że twierdzenie p. Kathleen Kenyon iż Jerycho jest najstarszym miastem na świecie, zakwestionowane zostało w tymże samym „Sunday Times" przez dr. Clifforda Allena. Przypomina on, że Julian Huxley w swej interesującej książce o dawnych miastach Bliskiego Wschodu za najstarsze, nieprzerwanie zamieszkałe, osiedle ludzkie uważa Damaszek, a A. K. Hamilton wywodzi, że jeszcze starszy jest Arbil — nazywany w Biblii Arbelą — dawna stolica Assyrii.

S. N.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: „Vistula" (Australia) Pty, 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Przedstawiciel — E. Kulakowska, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz Rev W. Słapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — „Libella" Librairie, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — B. Galas, Pagelstraat 15A, Breda. KANADA: Przedstawiciele — Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto i „Rodegast", 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: S. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13 b) München 13, oraz „Informacja Prasowa", Posfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: B. Łubiński, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: „Gryf Publications", 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz M. Kijowski, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz J. Stojanowska, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz „Pomoc" — Eksport Import, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr A. Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA. Przedstawiciel: Mgr B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: Mme Z. Bulhak-Jelska, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel. PAD 9734.